

Sternik

dwutygodnik dla młodych Warszawa

ROK II Nr. 5.

10-go MARCA 1930 R.

CENA 50 GROSZY.

N A 19-go M A R C A

Stare mury Wileńskiego Uniwersytetu niejedno opowieśćby mogły. Gdy staniesz w załamaniu muru i spojrzysz na stare krużganki — może wywołasz duchy przeszłości — może staną przed twymi oczami obrazy, których nigdy nie widziałeś, a które przecież tak dobrze ci są znane i tak bardzo bliskie.

Z murami Uniwersytetu Wileńskiego wiąże się tyle wspomnień, które z czasem urosły do legendy narodowej. Adam Mickiewicz, filomaci, promieniści — to tu przecież było. Stara wszechnica Śniadeckich była kolebką niejednej wielkości. Kto wie, może tu Juliusz Słowacki zdobył tę wielką wiarę w zwycięstwo ducha polskiego.

Przyszły czas, gdy wileńską wszechnicę zamknęto. Tam, gdzie od wieków rozbrzmiewało polskie słowo — umieszczono rosyjskie gimnazjum. Setki polskich chłopców musiało włożyć znienawidzone obce mundurki i wyrzec się rodzinnej mowy. Za każde polskie słowo czekała okrutna kara. W obcym języku trzeba było uczyć się podłych kłamstw o historii i geografii swego kraju.

Zaciskały się pięści chłopców — nienawiścią płonęły oczy. Stare mury przy Świętojańskim kościele niejedną usłyszały przysięgę — **to musi się zmienić.**

Te czasy, ten nastrój wileńskiego gimnazjum nieraz wspomina w swych przemówieniach Józef Piłsudski. Był On jednym z tych, co w swych dziecinnych latach poprzysięgli walkę o wolność Polski. Może nie przeczuły mury wileńskie, że będzie On tym jedynym, który młodzieńcze swe zamierzenia będzie umiał urzeczywistnić.

Koniec dziewiętnastego stulecia, to okres, w którym linja naszego działania narodowego gubi się i wikła. Po upadku powstania przychodzi reakcja przeciwko wystąpieniom zbrojnym. Ponieważ czasy popowstaniowe przyniosły ciężkie prześladowania, więc też w znacznej części narodu potępia się powstanie. „Teraz nam jest jeszcze gorzej — poco było porywać się z motyką na słońce. Nie zwyciężymy potężnej Rosji”. Stąd zrodził się nasz pozytywizm, troska o ekonomiczne

podniesienie kraju, a wyrzeczenie się wszelkich hasel niepodległości, wyrzeczenie się naszego najcenniejszego testamentu — testamentu krwi.

A obok pozytywizmu rozwija się polski socjalizm. Nie jest on jednolity — różne w nim wpływy, różne prądy. Młodzież polska studjuje Marksa, burzy się przeciwko kapitalizmowi, pragnie rewolucji socjalnej, na całym świecie. Sprawa polska usunięta jest w cień w obliczu hasel walki klas.

W tym czasie zjawia się na terenie pracy społecznej Józef Piłsudski. Wywieziony z ławy uniwersyteckiej na Sybir, wraca po pięciu latach wygnania do kraju. Między politycznymi ugrupowaniami polskimi pomiędzy ich ideologiami — staje sam. Sam jeden ze swoją własną ideologią.

Jeżeli chcemy zrozumieć historję ostatnich naszych lat przedwojennych musimy sobie dobrze uprzytomnić tę rolę, jaką w kształtowaniu się ówczesnej myśli polskiej odegrał Józef Piłsudski.

Z jednej strony jaknajdalej idąca ugodowość w stosunku do zaborcy, z drugiej strony podporządkowanie się postulatom międzynarodowego socjalizmu.

Wtedy to Józef Piłsudski rzucił hasło walki o niepodległość Polski. Potrafił swą wolą doprowadzić do tego, że poszła za nim część socjalistów polskich, tych jedynych wówczas w Europie „narodowych socjalistów”.

„Narodowy socjalista” — sprzeczność w samym założeniu — ale niejeden jeszcze taki paradoks spotka historyk dziejów, gdy zechce kiedyś opisać wpływ Piłsudskiego na społeczeństwo polskie.

Tak jak przetworzył ideologję socjalizmu polskiego, tak też na przemianę oblicza młodzieży akademickiej wywarł Józef Piłsudski wpływ potężny. Na uniwersytety polskie dotarły już wówczas hasła niepodległości. Zgromadzona w najrozmaitszych jawnych i tajnych organizacjach młodzież, dyskutowała zawzięcie o sprawie narodowej i swoim do niej stosunku. W dyskusji wyolbrzymiały się różnice, spór o słowa i definicje urastał do rozmiarów przepaści ideowych.

Józef Piłsudski nie przyszedł dyskutować z akademikami — wziął ich do roboty. Wspólna linia tyraljerki podczas ćwiczeń strzeleckich — stwarzała front jednolity, a jakieś „padnij” w błocie było lepszą szkołą charakterów, niż wiece i dyskusje. Oduczył ich zbawiania Polski gadaniem, tym, co w swoim własnym przekonaniu byli stworzeni jedynie do wielkich misyj historycznych, tym kazał służyć Polsce przez ćwiczenie musztry i czyszczenie karabinu.

Gdy przyszła wojna znowu rozbiło się społeczeństwo polskie. Jedni wierzyli w zwycięstwo tego, drudzy — innego zaborcy. A Józef Piłsudski miał znowu swoją własną ideologię. Szedł na oficjalną walkę z Rosją, która największą część kraju miała w swoich rękach; ale jednocześnie w duszy swej wypowiedział bezwzględna wojnę Austrii i Niemcom i, ani na chwilę nie poszedł z nimi na żadną ugodę. W ideologii tej nie był już sam — miał za sobą szeregi tych, których do walki o Polskę pociągnął.



Fragment gmachu Uniwersytetu St. Batorego w Wilnie.

Wprawdzie ci, którym nie zależało na prawdzie historycznej, albo ci, którzy nie mogli zrozumieć ówczesnej sytuacji politycznej, mówią niekiedy, że Legjony szły z Niemcami, ale każdy dokument historyczny zadaje temu kłam.

Nie można się dziwić ludziom, że w zamęcie wojny nie umieli odnaleźć prostej i właściwej drogi dla służenia Polsce. I ci, co wierzyli w skuteczność oparcia o Rosję, i ci, co tworzyli dowództwo Legjonów przy Austrii, działali w dobrej wierze. Nie ich wina, że prawdy nie umieli odnaleźć. Ale tem większy podziw musimy mieć dziś dla tego jednego człowieka,

który ani na chwilę nie zboczył z prostej drogi — z drogi niezależnej walki o wolność.

I umiał wszczepić swym ludziom tak mocną wiarę w zwycięstwo, że nawet w czasach najcięższych klęsk nie załamali się. Gdy Niemcy uwięzili Komendanta Piłsudskiego w twierdzy Magdeburskiej, gdy pułki legjonowe znalazły się za drutami kolczastymi obozów jeńców wojennych — nawet wtedy nie załamała się linia walki o Polskę.

Naród nasz, tak często skłócony i niezgodny w chwilach bardzo ciężkich dla siebie nie tylko umie zdobyć się na wspólny wysiłek, ale jakby oświecony łaską Bożą, umie się zdobyć na znalezienie właściwej drogi.

I tak, gdy Komendant Piłsudski powrócił z Magdeburga, jednomyślna wola narodu oddała mu w ręce ster państwa. Byli nawet tacy, co chcieli jego dyktatury — ale tego nie chciał sam Piłsudski.

Jako Naczelnik Państwa i wódz naczelny walczył Józef Piłsudski o granice państwa w długiej i ciężkiej wojnie z ukraińcami i z bolszewikami. W ogniu działań wojennych znajduje jednak czas na pracę nad podniesieniem kultury. W roku 1919, gdy nie ustawała wojna z bolszewikami Józef Piłsudski wskrzesza dawną wszechnicę wileńską — jako Uniwersytet Stefana Batorego.

Nie wiem, czy poznały Józefa Piłsudskiego stare mury wileńskie. Nie wiem, czy poznały, że ten, który przywrócił Polsce wolność, ten który Wilno przyłączył do Polski, ten, co jako Naczelnik Państwa przybył dokonać otwarcia Uniwersytetu, to ten sam mały Ziuk Piłsudski, który odsiadywał w tych murach karę za mówienie po polsku.

Myszę jednak, że poznały go mury wileńskie i może one jedne zrozumiały, jakich radosnych uczuć doznawał ten człowiek, gdy w swoim ukochanym mieście otwierał polski uniwersytet.

On, prześladowany przez władze uczniak — przyjechał tu jako najwyższy dygnitarz. Niezbadane są wyroki Opatrzności i nieznane są nam granice wielkości ducha ludzkiego. Ale duch tego, który umiał urzeczywistnić sny i marzenia całych pokoleń, jest tych granic wielkości bliski.

KTO, JAK ON...*

*Kto, jak on, nasz brygadjer Piłsudski,
Polskę w sercu, śmierć w tornistrze nosił,
Kto, jak on, tak u Boga wyprosił:
By stąd odszedł najeżdźca kałmucki?
Kto, jak on, z Bogiem tak się targował
Pod Łowczówkiem z krzywą szablą w rękę
O tę Polskę pełną krwi i jęku,
O tę Polskę, którą wróg rabował?
Kto, jak on?...*

*Pamiętajcie to imię,
Co z tęsknoty do Polski wyrosło,
Gdy wróg deptał ją z butą wyniosłą,
Całą w ogniu stojącą i dymie...*

*Ten żołnierski wysiłek nadludzki
Wy swym dzieciom w kolebkach przekazcie,
Bo, jak w burzę kapitan na maszcie,
Stał dziś w Polsce brygadjer Piłsudski.*

Edward Słoiński

Warszawa we wrześniu 1915 r.

*) Z „Antologii pieśni o Józefie Piłsudskim“

O NOWĄ IDEOLOGJĘ

List

Kochani!

Piszę „kochani“, gdyż kocham was istotnie, zupełnie tak, jak się kocha to, co nam pozwala żyć, wierzyć i iść śmiało naprzód, jak się kocha „nadzieję“.

Kochamy was wszyscy, wszakże wy właśnie jesteście uosobieniem, jesteście żywą, cudowną nadzieją. Piszę do was z odległych krain, z tych, z których powrotu już niema. Widzę was niewygodnie w ciasnych ławkach siedzących, widzę was w domu, mozołnie nad książką pochylonych i widzę wasze rozradowane oczy w zmaganiach z piłką, dyskiem lub oszczepem. Są chwile, w których wydajecie mi się bliscy, tak bliscy jak brat, jak siostra, bywają jednak i takie, w których widzę wysoki mur odgraniczający nas. Może nas dzieli to, co dzieli bogacza od nędzarza. Może i bogacz nie miałby tak twardego serca, gdyby z nędzą się porał.

I właśnie ten mur, przegrodą wielką nas dzielący — to moja i mego pokolenia nędza a po drugiej stronie — wy — bogacze!

* * *

Było to na letnisku, w małej, podgórskiej wiosce. Gospodarz nasz, bogaty góral miał dostatni, pięknie rzeźbami ozdobiony dom i kilkoro służby. W małej komóreczce, przyczepionej ubogą przybudówką do obory mieszkała kątami stara, sterana pracą wyrobnica. Siwiuteńkie włosy i twarz w rumianych zmarszczkach, jak świeżo upieczone jabłko. Dzień cały pracowicie nosiła naręcza drzew, sprawiała obrządek przy gospodarstwie, ostatnim wysiłkiem, starością i mazołem zgiętych rąk i pleców dźwigała ciężkie snopki. Wieczorami na schodkach werandy bawił nas rozmową sam gazda. Na najniższym stopniu siadywała stara komornica, wybladłymi oczami wypatrując gwiazdy.

Gazda wyrzekał na ciężkie czasy, na nieurodzaje, na drożyznę, na kraj, na rządy — omal nie na samego Pana Boga. Nasyciwszy nas swojemi kłopotami, z zadowoloną miną pykał krótką fajeczką. Z kolei zabierała głos stara komornica. Sypały się gadki, stare wigilje, żniwa, dożynki, przypowieści, wspomnienia o dawnym obyczaju: ślubach, chrzcinach, pogrzebach. Wszystko zaczynało się niezmiennie: „Dobry Pan Jezus pozwolił“, a kończyło: „Dziękować Bogu i za to“.

Ktoś z nas zagnała zapytał: Czem się to dzieje, że gazda, zamożny w tyle dóbr zawsze ciężko wyrzeka a wy babko, nie mając nic, prócz tych kilku desek na schronienie chwalicie sobie życie i Boga.

Długo trwała cisza. Gazda wypuścił cybuszek z ust i zdumionym wzrokiem wodził po wszystkich.

A komornica wesołym, prawie młodym głosem zaczęła tłumaczyć.

A bo widzicie — to jest tak. Gazda, jak gazda! Ma wszystko, bo go tak Pan Jezus obdarował, to i biedy nie czuje i ma czas wyrzekać. Ale nie ze wszystkim jest on taki bogaty. Dobrze ja widzę, choć mam oczy stare. A to mu troska spadnie, to choroba na żonę, na dobytek — to się sam w sobie dreczy a nie ma to komu powiedzieć. Bo wiecie: Gazda nie ma własnego pacierza. Ani rankiem, ani wieczorem nie klęknie, nie poleci wszystkiego Bogu. Tylko aby w niedzielę. Pięknie się ubierze, z gospodynią siadają na wóz i aby tylko na sumie westchnie do Boga. A ja — jak ja. Deski mam ino, alem bogata w pacierze. I rankiem i wieczorem, a i na dniu, jak ciężar stare kości przygniecie, albo złem słowem człowieka smagną — to wstchnę i Jezusickowi się polecę. I już lżej, już dobrze. A no... przez to, to i ja bogata.

* * *

Ileć widzę ową przegrodę, murem wysokim nas dzielącą, słowa starej wyrobnicy stają mi żywe w pamięci. Obdarowani domem własnym, ojczyzną, państwem potężnym —

zapominacie o codziennym pacierzu. Jak bogatemu gaździe Bóg, tak wam ojczyzna przytomną się staje „raz, podczas sumy niedzielnej“, w czas święta, w czas obchodu narodowego, państwowego czy też rocznicę dawnej tragedji, czy triumfu.

A dla nas? Dla nas ojczyzna była codziennym pacierzem. Mało! Co troska, co nowe prześladowanie, nowy pomysł wynarodowienia, czy ucisku myśli swobodnej — odmawialiśmy pacierz do ojczyzny i o ojczyźnie.

Nudne gładzenie — pomyślicie? — Morały, kazania bogoojczyźniane?

Nie — to nie to.

* * *

Pamiętam...

Wloką się nudne, bezbarwne godziny języków, matematyki, fizyki. Godzina historii. Czy możecie wyobrazić sobie godzinę historii w okresie niewoli, w okresie, gdy ona stała? Kiedy stała historia własnego państwa? Przeżywaliliśmy historię narodu tylko, narodu bez państwa. Zupełnie, jak człowiek, który żyje w wiecznym mroku i tylko z opowiadań starych ludzi dowiaduje się, że była jasność dnia, w której żyli ich dziadowie, że jasność i światło dzienne jest im krzywdą przemocy wydarte.

W mroku pogrążeni chciwie słuchaliśmy wieści ubiegłych czasów o jasności państwowego bytu. W mroku walczyliśmy głucho, zaciskaliśmy pięści i prężyliśmy ramiona do nowej walki o światło wolnego dnia.

Wytrwaliśmy, krzepieni codziennym pacierzem o ojczyźnie.

A dziś! Dziś pacierz ten mamy we krwi, odmawiamy go dalej. Wówczas jednak odmawialiśmy go twardym, zaciętym szeptem — dziś ogarnia nas wzruszenie.

Wzruszenie człowieka, który zwyciężył zły los, wzruszenie człowieka bezdomnego, który ma dach nad głową i piękny, mocny, własny dom.

I właśnie oprócz pacierza o to wzruszenie chodzi mi najwięcej. Wy wszyscy pamiętacie wielką wojnę. Maleństwa — nagle wyrzucone z gniazda ojcowskiego domu. Niejeden z was jest osieroconym synem lub bratem. Wy wszyscy stykacie się dzień w dzień z ludźmi, którzy Polskę wywalczyli i budują. I wy patrzycie na świeże jeszcze mogiły waszych oswobodzicieli i obrońców.

Nas rozplamieniały, do nas kołatały mogiły o wiele starsze. Mogiły, o których pamiętać nie wolno było, ani odwieść, a czcić ukradkiem. Zapadłe, tajemnicze mogiły powstańców. Wołały wielkim głosem i zmuszały do czynów, do walki. Dziś cześć oddajecie świeżym mogiłom jawnie, z pełną dumą, że to wasi bracia dali krew i życie za was i za wasze państwo. Ale wybaczone — za mało jest w tem entuzjazmu, za mało wzruszenia. W wirze dzisiejszego życia wyrzekacie się jednego z najpiękniejszych uczuć: wzruszenia.

Bo kto powie, że wzruszenie jest słabością, kto wzruszenia wyrzeka się, nie jest pełnym człowiekiem. Wzruszenie jest matką entuzjazmu — a cóż wart człowiek bez entuzjazmu?

Czyż znaczy to — zapytacie, że chcesz nas obarczyć waszą dolą, waszą tęsknotą, waszym wysiłkiem, waszym sentymentem niedzisiejszego już człowieka a tamtego z przed wojny?

Nie — nie o to mi chodzi. Jesteśmy z tej samej krwi, tej samej matki dzieci. I tak jesteśmy i będziemy sobie podobni. Tylko chciałam przypomnieć, że weszliście do nowego domu, który trzeba umocnić, który trzeba urządzić najlepiej, aby wszystkim było dobrze i pogodnie. Czeka was ogromna praca, ciężki trud. I właśnie do tej pracy jest konieczny codzienny pacierz, codzienna myśl, że jest coś takiego, jak państwo, że dla niego są wysiłki moje i twoje.

Może zarzucicie mi przesadę? Wierzenia romantyka z przed wojny? — Och nie! Wiem, co mówię. Obojętnie mi-

jacie cmentarze wojenne, gdzie szeregami biela się tysiące drobnych, prostych krzyży i zwyczajnym głosem objaśnacie: „to cmentarz wojenny”. A do nas te krzyżyki wołają wielkim głosem: Coście zrobili z posiewu naszej krwi — jak żyjecie, co robicie z naszym darem?

Wasi starsi koledzy na uniwersytetach sprzeczą się i toczą walki, który z żyjących ludzi w walce o niepodległość jest większy? Który jest bardziej zasłużonym bohaterem, któremu cześć oddawać?

Czyż bohaterstwo można mierzyć wagą, ważyć ciężarkiem? Czyż sam fakt, że spotykacie każdego dnia ludzi, którzy trud i okrucieństwo wojny przeżyli, w których dusze na zawsze zapadła groza śmierci, jęk rannych i mozół niehumanitarnej, których ciała ma jeszcze niewygojone rany od pocisków i szrapneli, — czyż istnienie przytułków dla tysięcy ociemniałych inwalidów wojennych nie woła do was wielkim głosem?

Dla nas bodźcem do wyrobienia w sobie sił do walki z wrogiem było każde prześladowanie — ba — sam widok munduru wojskowego, widomego symbolu przemocy i gwałtu, sam widok policjanta w obcym, zniechęcającym szynelu. Dla was i te mogiły, takie świeże jeszcze i ludzie żyjący z ranami, wojną zadanymi i żołnierz polski musi być codziennym wzruszeniem, codziennym przypomnieniem, że trzeba ich czynom dorównać. Że trzeba w tej szkole średniej zgromadzić w sobie, zebrać w duszy te wszystkie wzruszenia przeszłości, które daje historia i literatura, które daje entuzjazm młodzieńczy — aby stworzyć przyszłość.

I należy być czujnym pacierzem o ojczyznę, rozpłomienianiem się i czerpać ożywcze siły w entuzjazmie, który nam każdy dzień przynosi i trzeba być mocnym dumą.

Wybaczenie! — Za mało dumni jesteście. Nie macie, nie pielęgnujecie w sobie dumy z własnego państwa, z własnego narodu. Nietylko zresztą wy, ale i my częstokroć grzeszymy brakiem dumy z naszego państwa, jako całości. Ale wy, którzy jesteście naszą umiłowaną nadzieją, winniście naszych grzechów unikać, nasze błędy odrzucać i wyrabiać w sobie typ dobrego obywatela. Człowiek dumny dąży do coraz silniejszej woli, doskonalszego rozwoju i dumą swoją wyrabia, ochrania. Tymczasem wy od lat szkolnych, już zanim dane wam będzie zmierzyć się z czynem, zanim zobaczycie, ile wy-

siłków kosztuje czyn — przyzwyczajacie się do krytyki czynów innych. Nic łatwiejszego, niż sądzić innych, nic trudniejszego, jak być dla siebie surowym sędzią. Pomniejszając, krytykując wysiłki, czyny, ludzi, wytwory umysłu, czy rąk — nie widzimy, nie czujemy, że pomniejszamy całość, całą społeczność i siebie, jako część tej społeczności. Cudzoziemiec jest dumny z swoich wielkich ludzi, z swojego państwa, z siebie. My i co gorsza wy — wydymamy wzdurliwie wargi, pomniejszając i ludzi i czyny nasze. Piszę „nasze”, piszę w liczbie mnogiej, gdyż prawdziwa duma, duma szlachetna, nie pycha — nie chce korzystać, nie chce wywyższać się kosztem drugiego wysiłku, czy kosztem poniżania wysiłku cudzego. Duma prawdziwa, twórczy motor naszego „ja” — naszego charakteru, musi się mieścić w sumie wysiłków ogólnych. Musi się mierzyć wartością wysiłku drugiego.

* * *

W 1918 r. — roku bohaterskiej walki o Lwów, leżało trzech chłopców w maleńkim pokoiku szpitala wojskowego w Krakowie. Wszyscy trzej z zabliźnionymi ranami w piersiach. Rany postrzałowe wygojone, ale płuca chore na zawsze. Szesnastoletni chłopcy, uczniowie kl. VI. Wzięli do niewoli patrol wojska ukraińskiego. Trzech bohaterskich chłopców wzięło do niewoli patrol. W twarzach ich nie było kropli krwi. Leżeli bledsi od pościeli, na której wspierali dziecienną głowę i wychudłe ręce. Ale humory doskonałe. Na wyścigi opowiadali o bohaterskiej przygodzie. Bolek zachwycił się odwagą Felka, Felek podziwiał przytomność umysłu Stefana, Stefan wystawiał Felka i Bolka. Podziwialiśmy bohaterstwo wszystkich trzech.

Cóżby było, gdyby każdy z nich przypisywał ten czyn tylko sobie?

* * *

Kochani! Wiele widzę większych i mniejszych głazów w owej przegrodzie, dzielącej wasze i nasze dusze. Ale może zechcecie mi pomóc, może podacie ręce do wspólnego wysiłku porozumienia, przedyskutowania naszych i waszych zalet i błędów.

Czekam odpowiedzi!

Janina Wasungowa

—•••••—

APOSTOŁ MŁODZIEŻY

Było to na schyłku zeszłego stulecia. Wracalam wtedy z Rzymu na Turyn, żeby zwiedzić starą stolicą Piemontu. Przewodnikiem moim był profesor, Włoch, do którego miałam list polecający.

Zachwycona pomnikiem Covoura, rzekłam do niego:

— W stosunku do swoich rozmiarów, Italia najwięcej wydała wielkich ludzi.

— Wydała i wydaje — odpowiedział z przyciskiem.

— Pan ma na myśli Papieża Leona XIII?

— I jego i ks. Bosko.

— Założyciela Salezjanów?

— Tak, apostoła, opiekuna, dobroczyńcę i miłośnika młodzieży, twórcę nowego systemu pedagogicznego. Był to wielki i święty człowiek, który z pewnością będzie kanonizowany. Jeżeli pani chce, pójdziemy na Valdocco, gdzie są jego zakłady, dom macierzysty Salezjanów; leży on już za miastem.

W drodze do Valdocco, profesor opowiadał mi o ks. Bosko.

— Miałem szczęście widywać go czasem; wywierał potężny urok na wszystkich, młodzież lgnęła do niego, dzieci za nim przepadały. Minister Ratazzi, wróg Kościoła, nazywał go największym cudem 19-go wieku. Duńczyk, Jörgenson pisze o nim: „Ks. Bosko, najlepiej świadczy, że chrześcijaństwo i cywilizacja to jedno”.

Jesteśmy już w Valdocco. Wysiedliśmy przed ładnym kościołem, dokoła którego stoją różne gmachy. Mieściły się

w nich warsztaty rzemieślnicze, gimnazjum, internat, seminarium.

— Takich zakładów jest już kilkadziesiąt w Europie i w Ameryce południowej — mówił profesor — prócz tego ks. Bosko wybudował kilka kościołów.

— Ale skąd czerpał na to fundusze? Odkrył chyba kopalnię złota.

— Kopalnią złota były dlań serca ludzkie, do których umiał przemawiać! Znoszono mu tyle pieniędzy, ile tylko potrzebował... Miljony przeszły przez jego ręce, ale on sam żył bardzo skromnie i nigdy żadnej nie przyjął godności. Ile tysięcy dusz zbawił! Ile tysięcy łobuzów wykirował na uczciwych i pożytecznych ludzi!

Wróciwszy do Turynu, kupiłam życiorys ks. Bosko. W miarę jak go czytałam, wzrastał mój podziw i cześć dla tego kapłana. Wiele może dokonać człowiek, kiedy przyświeca mu wzniosły ideał, wspiera łaska Boska, dopomagają zdolności, niezłomna wola i nadzwyczajne zalety duszy!

Ks. Bosko urodził się r. 1815, w wiosce Murialdo, niedaleko Turynu. Ubogi syn ludu, wcześniej stracił ojca, ale matka, prosta wieśniaczka, dzielna, rozsądna i pobożna kobieta, dała mu wychowanie chrześcijańskie. Dzięki jej pracy i zabiegliwości, dzieci nie zaznały głodu i chłodu, lecz na kształcenie ich nie było środków, a mały Janek, który pasał kozy, tak pragnął się uczyć!...

Znaleźli się dobrzy ludzie, którzy dawali mu lekcje, a po-

tem dopomogli do skończenia szkół i seminarjum. Wyświęcony na księdza, kształcił się wyżej w teologii, filozofji i obcych językach, a jednocześnie spędzał po kilka godzin w konfesjonale, pisywał książki i broszury w obronie wiary, odwiedzał więzienia, żeby spowiadać i nauczać przestępców.

Bojąc nad losem biednych chłopców, waleśających się po ulicach, w r. 1841 zaczął gromadzić tych włóczęgów w swoim mieszkaniu, uczył ich, prowadził do kościoła, przygotowywał do spowiedzi i Komunii Św.

Nauka przeplatana była śpiewem, czytaniem dobrych książek i zabawą. Ks. Bosko nauczył się w tym celu różnych sztuk kuglarskich, gry na fortepianie i na organach.

Taki był początek oratorjów niedzielnych.

W dni pogodne, ks. Bosko prowadził swoich wychowanków za miasto, urządzał dla nich gry, gonitwy i różne zabawy. Wracając zawsze wstępowano do kościoła na modlitwę.

Liczba chłopców wciąż wzrastała, ks. Bosko zmuszony był wynająć większy lokal, wszędzie jednak w krótkim czasie wymawiano im mieszkanie: 400 chłopców sprawiało zbyt wielki hałas. Prócz tego, władza duchowna i rząd zaczęły stawiać trudności ks. Bosko.

Szlachetny opiekun opuszczonej młodzieży w niemałym był kłopotcie, ani na chwilę jednak nie pomyślał o przerwaniu działalności, która po latach 10 już zaczęła wydawać obfite owoce.

W r. 1851 trafiła się sposobność wynajęcia domku na Valdocco. Przeniesiono tam oratorjum świąteczne, lecz to nie wystarczało, ks. Bosko marzył o własnym kościele, o własnej szkole, o własnym boisku do gier i zabaw.

Przy pomocy dobrych ludzi rozpoczął budowę kościoła pod wezwanie Św. Franciszka Salezego, a potem gmachu na pomieszczenie warsztatów do nauki rzemiosł. I tak w r. 1853 powstał pierwszy zakład ks. Bosko.

W miarę, jak się rozwijał, coraz to nowe przybywały budynki, zarazem jednak okazała się potrzeba odpowiednich nauczycieli. Zachęcony przez Papieża Piusa IX, ks. Bosko założył w tym celu nowy zakon Salezjanów, zatwierdzony w r. 1874.

Składał się on głównie z dawnych wychowanków ks. Bosko. Celem jego zakładów było wychowywanie i kształcenie ubogiej i opuszczonej młodzieży.

Nowa metoda pedagogiczna, lepsza od metody Pestalozzi'ego, tak zwany system zapobiegawczy, polegał na tem, żeby nauczyciele kochali uczniów i starali się pozyskać ich miłość.

Ciągły dozór, nawet podczas zabaw, zapobiega wykroczeniom; dobroć i słodycz w obejściu jedną serca dzieci. W każdym zakładzie panuje wzorowa czystość, ład i porządek. Poziom moralny i religijny, uczniów podnosi się przez codzienne słuchanie Mszy Św., częstą spowiedź i Komunię Św.

Ks. Bosko założył także w r. 1874 zgromadzenie żeńskie Córek Marji Wspomożycielki i zakon „pomocników salezjańskich”, złożony z ludzi świeckich, którzy nie składają żadnych ślubów. Liczba ich wynosi obecnie 300.000.

Ks. Bosko postanowił rozszerzyć zakres działalności Salezjanów i w r. 1875, wysłał całą ich gromadkę do Patagonji, celem nawrócenia tamtejszego dzikiego ludu. Podczas cholery w Turynie, on i starsi jego wychowankowie gorliwie pielęgnują chorych.

W r. 1883 pojechał do Paryża; poprzedziła go taka sława, że tłumy oblegały jego mieszkanie. Tam poznał rodzinę ks. Czartoryskich. Najstarszy ich syn, August, przejęty uwielbieniem dla świętego starca, postanowił zostać Salezjaninem.

W r. 1887, w Turynie, pierwszych dwóch Polaków: ks. Czartoryski i Wiktor Grabelski, przyjęło sukienkę zakonną z rąk ks. Bosko. Były to ostatnie obłóczyny, których sam dokonał; wyczerpany pracą, oddawna chory, dn. 31 stycznia r. 1888 oddał Bogu ducha.

Bogaty plon pozostawił po sobie: 200 oratorjów, seminarjów i sierocińców w Europie i w Ameryce; przeszło 200.000 młodzieńców otrzymało w nich wychowanie i możliwość zarobkowania.

Świętobliwe życie ks. Bosko, sprawiło, że został on zaliczony w poczet Błogosławionych. Uroczystość beatyfikacji odbyła się dn. 2-go czerwca r. z. w Rzymie.

Duch ks. Bosko żyje w synach jego: liczba zakładów wzrosła od jego śmierci w dziesięćkroć.

Za przykładem ks. Czartoryskiego poszło wielu Polaków, ale pierwsza placówka salezjańska w Polsce powstała dopiero w r. 1898 w Oświęcimiu w Małopolsce.

Rząd rosyjski sprzeciwiał się zawsze wprowadzeniu Salezjanów.

Po odzyskaniu niepodległości, Polska otworzyła im szeroko wrota i już w r. 1918, widzimy placówkę salezjańską w Kielcach. Obecnie posiadamy 26 zakładów salezjańskich, w których mieści się przeszło 4.000 uczniów. Pierwszy prymas odrodzonej Polski ks. kardynał Hlond, był Salezjaninem.

Zofja Sokołowska

MAMUT

(Obrazek z natury).

A jednak wbrew twierdzeniom uczonych przyrodników mamuty nie wyginęły, lub przynajmniej nie wyginęły doszczętnie. Poszczególne okazy żyją jeszcze i cieszą się dobrem zdrowiem.

Nie wierzycie?

Więc posłuchajcie opowiem wam właśnie o jednym z nich

Było to — zresztą mniejsza o to gdzie — w miejscowości tej spędziłem wiele lat mego dzieciństwa. Zwała się powiedzmy Zalesie, bo niegdyś otoczona była lasami, dziś jednak do porządnego lasu stamtąd bardzo jest daleko. Zwykli, ot sobie, zapadły kąt, jakich wiele znajduje się na tak zwanej „polskiej wsi”.

Tam właśnie żył bohater mego opowiadania. Ile miał lat? — Nie wiem, myślę, że dużo. Jak daleko sięga moja pamięć zawsze był siwy.

Ponieważ, jak już zaznaczyłem, rzecz działa się w zapadłym kącie, więc przebywający tam ludzie wszystek czas pozostający im od pracy przepędzali na sąsiedzkich pogawędkach o tem i owem. Stąd w starych wprawdzie, lecz już nie modrzewiowych dworach dawne istic modrzewiowe panowały tradycje i nierzadko średniowieczna niemal naiwność.

Ona właśnie była poza niezwykłą fantazją, główną cechą Mamuta. Jeśli dodamy do tego wielką skłonność do opowiadania swych przygód, jak mniemam niezawsze prawdziwych, oraz, że w braku innych emocyj

sam się swemi opowiadaniem głęboko przejmował — otrzymamy dokładny wizerunek bohatera, któremu niniejsze opowieść poświęcam i przypisuję.

Kiedy jeszcze byłem mały opowiadane przez Mamuta historie robiły na mnie ogromne wrażenie, poprostu bałem się ich, zwłaszcza, że były to czasy, kiedy w naszym zakątku tułały się jeszcze echa 1905 roku i upiorne wspomnienia grasującej jakoby w okolicy „czarnej sotni” zwanej przez naszych zacnych kmiotków „czarną sociną”, lub poprostu „czarną szczecina” — tego ostatniego bałem się najwięcej nie śmiejąc jednocześnie poprosić o wytłomaczenie tej niezwyklej nazwy.

Drugim przerażającym tematem byli „mankietnicy” o zawziętych walkach z którymi w pobliżu miasteczku opowiadano dziwne rzeczy.

Gdy więc tylko zorjentowałem się, że zanoszę na opowiadanie uciekałem z domu. Z czasem jednak dowiedziałem się, że „czarna sotnia” wogóle nie istniała, a „mankietnicy” — byli to marjawici, którzy wywołali kiedyś parę awantur w miasteczku, jednak nie byli nigdy złowrogą potęgą, jedynie wyjątkowo w opowiadaniach zacnego Mamuta.

Od tej pory przestałem uciekać przed jego historjami. Straciwszy swą dotychczasową grozę, stały się one dla mnie zajmujące, często również w skrytości ducha bawiłem się niemi doskonale.

Przyczyniła się do tego jeszcze i zmiana tematów na bardziej sieliskie i bezkrwawe zdarzenia z życia wiejskiego.

Pamiętam, jak dziś, jak stary zapalony myśliwy, Mamut bardzo lubił polowanie i znał się na niem, jak rzadko kto w dzisiejszych czasach, z lubością odtwarzał swe przeżycia łowieckie.

HEROIZM MAŁYCH LUDZI

(Dokończenie)

Weźmy inny przykład — jeden z najśliczniejszych, jakie znaleźć można.

Było to w roku 1925. Jedno z miast Alaski — tej półmitycznej krainy lodu i złota — nawiedziła klęska. Straszliwa epidemia szerzyła się w niem, z niesłychaną szybkością, zwalając z nóg początkowo po kilkanaście, a niebawem po kilkaset osób dziennie. Nie nadążono grzebać zmarłych. Żywych jeszcze, lecz przez chorobę już dotkniętych, mimo największych wysiłków, mimo całego poświęcenia, trwający mężnie na posterunku lekarze nie mogli ratować. Zabrakło im niezbędnych środków lekarskich.

Toteż stacja radiowa zagubionego w śnieżnej pustyni miasta wysyłała, niby tonący okręt, tragiczny sygnał „S. O. S.”, wciąż jedną i tę samą depezę — krótką lakoniczną receptę. Słyszano sygnał ten w całej Ameryce, lecz jakże pomóc ginącemu miastu w zimie, gdy wszelka komunikacja jest przerwana, gdy nawet samolot nie może się tam przedostać. Łamano sobie głowę nad tym okropnym problemem, desperowano bezradnie, a sygnał wciąż się powtarzał, coraz rozpaczliwiej, a miasto tak niedawno wesołe, pełne ludzi kipiących energią, miłowaniem życia, ludzi dzielnych, odważnych i pracowitych — przeistaczało się w ogromne, ponure cmentarzysko.

Aż wreszcie znalazł się ktoś, kto wziął na swe barki obowiązek dostarczenia niezbędnych leków. Był to prosty Indjanin, którego nazwisko nie zostało nawet zanotowane. Spakował drogocenny ładunek na sanki, zaprzągnął doń dzielne psy i wyruszył w podróż przez ciągnące się setkami kilometrów pustkowia, na wszystko zdecydowany i spokojny.

Nie miał w dotkniętym plagą mieście, ani żony, ani dzieci, ani żadnych bliskich. Wyruszył nie poto, by zdobyć jakąś przyobiecana nagrodę, lub też sławę. Prostym Indjaninem nie znał i nie rozumiałby samoreklamy i dyskutowania zasług — pojechał dlatego tylko, że tam ginęli ludzie i, że ludziom tym trzeba było pomóc. To było proste i jasne dla tego człowieka „niższej” rasy, dlatego „dzikusa”... którego nie bardzo rozumiały przemądrzałe „blade twarze”.

Podróż?

O podróży mało co wiadomo. Nie zwierzał się jej bohater, bo poco było o tych drobnostkach opowiadać. Podróż

była prawdziwą epopeją bohaterstwa. Nie o to tylko chodziło — choć i to było zadaniem nie łatwym — by dojechać. Trzeba było jeszcze dotrzeć do celu w jaknajkrótszym czasie, bo każda godzina zwłoki kosztowała kilka istnień ludzkich.

Dlatego też czerwonoskóry gardził wypoczynkiem, pożegnał się ze snem i nie tracił czasu na jedzenie i picie. Pędził naprzód co sił, bez względu na to, czy smagał go wicher, czy ciął grad, czy oslepiąta śnieżna zawierucha. Pędził swe wierne psy, a gdy który padł z wycieńczenia — jeszcze więcej nakłaniał do pośpiechu pozostałe. W miejscach trudnych do przebycia, by im ulżyć biegł obok sanek po kolana w białym, nieskalanym śniegu, biegł dniami i nocami sam jeden wśród bezkresu śnieżnej pustyni, zahypnotyzowany jedną myślą: byle prędzej, prędzej, prędzej!

Psy padały jeden po drugim. Trupy ich zostały na śnieżnym szlaku, jak kilometrowe słupy wspaniałego poświęcenia. Został tylko: jeden człowiek czerwonoskóry i jeden szary pies, zaprzęgni do sani z jakimiś proszkami i płynami, których składu i właściwości, ani jeden, ani drugi nie znał. Człowiek wiedział tylko, że te płyny i proszki przywrócić mogą życie umierającym obcym ludziom, i ostatnim wysiłkiem woli parł naprzód, by chociaż za cenę życia dotrzeć do celu.

Dotarł. Padał ze zmęczenia, jak padał z wyczerpania jego wierny towarzysz, szary pies. Ale sanki dojechały na czas jeszcze do nieszczęśliwego miasta i radiotelegraf zaprzestał dawania tragicznego sygnału. Lekarze, którzy opuścili już ręce, zabrali się znowu do pracy i tysiące ludzkich istnień wydarto nienasyconej śmierci.

Psu postawiono za życia wspaniały pomnik. Imię Indjanina nie przejdzie do potomności, bo nikomu nie przyszło do głowy zapytać o nie, kiedy dostarczywszy powierzony jego pieczy ładunek, pożegnał się, by wrócić w swoje progi.

I nie szkoda. Umieszczanie podobizn mniej, lub więcej podretuszowanych, mniej lub więcej wyidealizowanych życiorysów — na wzór białoskórych — pomniejszyłoby tylko wartość czynu tego bohaterskiego młodzieńca.

Czyn jego stawia go w pierwszym szeregu rycerzy hu-

— Proszę pana, proszę pana — powtarzał basowo, jako nieodzowny wstęp — ja tam miałem lepsze przygody. Raz pamiętam pojechałem na zajęcie w wigilję. Chciałem coś zabić, ot tak, dla wróżby. Jadę sobie tylko z furmanem małymi saneczkami. Wieczór już zapada. Ściemnia się. Patrę, a tu, panie, zajęczysko olbrzymie siedzi i oziminę zajada. Podjeżdżam ja, proszę pana na pięćdziesiąt kroków. Walę z jednej lufy, on nic. Z drugiej — a ten pokicał ze trzydzieści kroków, śnieg odgrzebał i żre. Ja do niego. Znow strzelam, znow to samo i tak, panie, było cztery razy. I krzyż robiłem na flincie i czapkę o ziemię trzy razy ciskałem nic nie pomogło.

— No i co się ostatecznie stało? — pytam zciekawiony.

— Co, pojechałem do domu. Nawetem się nie oglądał.

— A ten zajęć?

— To nie był zwykły zajęć — rzekł poważnie Mamut i zamilkł wielce wzruszony swą historią.

Wszystkie te jednak opowiadania niczem były w porównaniu z „Królem węzów”.

— Proszę pana, proszę pana — zaczął jak zwykle pan Aleksander (takie było imię Mamuta) — gdybym panu opowiedział pewien fakt, który zdarzył mi się dobrych parę lat temu, toby pan nigdy nie uwierzył.

— Ależ, niech pan opowie — prosiłem pokornie — to takie ciekawe rzeczy!

Naturalnie zgodził się, chodziło mu tylko o pozór, że na czyjąś prośbę, a nie z własnej ochoty wspomina swoje dzieje.

— A to, proszę pana, było, wtedy, gdy zostałem zarządzającym

ogromnem rybołówstwem w Żabieńcu. Tam, panie, istne królestwo węzów. Tysiące, panie, miliony! Niech pan sobie wyobrazi widziałem tam „Króla Węzów”.

— Króla Węzów?

— Tak, panie jeden w życiu. Pan rozumie, takie rzeczy nie zdarzają się często!

— O, tak — przytaknąłem skwapliwie. Więc jakże to było.

— Ano, okropnie mi tam ryby kradli, co wieczór musiałem sam obejść wszystko zobaczyć. Tak, panie, nikomu nie można ufać dodał sentencjonalnie — tylko sobie, to moja zasada. Otóż idę ja sobie jednego wieczoru. A tam na jednej grobli był panie, kopiec. Kto jego wie poco, ale był i tyle. Patrę ja, a na tym kopcu coś się rusza. Przyglądam się, oczom nie wierzę. Siedzi tam, panie, węzów, aż gęsto wszystkie pięknie pozwijane w kółeczka tylko łby popodnosiły na jakie trzy cale — tu Mamut zastanowił się — nie trzy, panie, a cztery cale.

— O, to drobnostka — przerwałem — doprawdy...

— Wcale nie, panie, gdybym nie był dokładny, mógłby mi pan nie uwierzyć, a przytem dobrze obserwowałem, więc mogę z pewnością twierdzić, że cztery cale. Więc te łby popodnosiły i patrzą, a tu, panie, na wierzchu kopca dwa węże siedzą też zwinięte tylko, że większe od nich i bardziej połyskujące. A grobla, panie, cała też zajęta — toż tam było tego z dziesięć korcy — tu Mamut spojrzał na mnie z triumfem, a widząc, że słucham z prawdziwym przejęciem, pozorował dalej.

— Więc ja, panie, myślę sobie, zobaczę co wy tu niebożęta robicie. Przysiadłem za mchem i czekam, a byłem od nich jakie trzydzieści

manitarnego samozaparcia i poświęcenia, a wyżej jeszcze podnosi go fakt, że zostanie rycerzem nieznanym.

Życie każdemu przeznacza inną rolę, niejednakowo głośną i wybitną, ale każdemu jednakowo pozwala dotrzeć do szczytu wielkości. Wielki jest bowiem siwy generał, który siedząc nad mapą o setki kilometrów od placu boju wygrywa bitwę i zdobywa zwycięstwo dla swojej Ojczyzny. Ale niemniej wielki jest żołnierz-analfabeta, który ginien z bagnietem w rękę na drutach kolczastych. Wielki i godny wdzięcznej pamięci ludzkości był uczony lekarz, który pracując nocami

w laboratorium wynalazł lekarstwo, zwalczające morderczą chorobę. Ale niemniej wielki był ów bezimienny Indjanin, który tajemnicze leki wioził z wysiłkiem nadludzkim, by ratować obce życia. Wszyscy oni są sobie bliscy, sąsiadują duchowo zrównani wspólną miłością bliźniego, tak jak sąsiadują nie tylko fizycznie, ale i moralnie Łuk Triumfalny Napoleona, lub pomnik Księcia Józefa z Grobem Nieznanego Żołnierza.

Droga ku wyżynom otwarta jest dla każdego. Wystarczy postawić sobie cel szczytny i wytrwale iść ku niemu.

Wiktor Junosza

PRZEZ RUMUNJĘ i BUŁGARJĘ

(Wspomnień z podróży do Konstantynopola cz. I)

Dawno to było. Nawet bardzo dawno. I dopiero teraz widzę, jak wielką mają wartość wspomnienia, które przynosi powracająca fala wrażeń. Nie jest ona słabsza od tej, która mnie ogarniała w czasie ich przeżywania, a nawet posiada większą wyrazistość. Tryskało mi wtedy przecież słońce zbyt mocno w oczy, cyprysy zbyt wysoko wrastały w czyste niebo, Konstantynopol huczał — i wszystko było tak bardzo bezpośrednio jak karta papieru pod same oczy podsunęta, kiedy litery odkształcają się, miast się rysować. Uderzało we mnie tyle „najpiękniejszych” rzeczy, że doprawdy nie potrafiłby nikt rozróżnić, co mną silniej, a co słabiej wstrząsało. Teraz dopiero wszystko ma swoje właściwe miejsce w pamięci odwróconej. Jasne rzeczy świecą, ciemne zapadają coraz głębiej — i zdaleka idzie do mnie słoneczna twarz niezapomnianych dni kwietniowych roku 1927-go. Mam, oprócz pamięci, do rozporządzenia korespondencję z domem i dziennik z podróży.

Wiem, że bardzo mi biło serce, kiedy zwolna zaczęły tętnić utajonym rytmem życia koła wagonów, coraz szybsze i opętane wreszcie szybkością; kiedy po raz ostatni wychyliłem się z okna, aby posłać ostatni ruch dłoni: pożegnającego całusa odprowadzającym mnie rodzicom i kolegom. Orkiestra grała hymn. Kochany nasz dyrektor i kierownik wycieczki p. Włodzimierz Gałeczki przyszedł zaraz do naszego przedziału „poniatowszczyków”. Bo przecież było nas bardzo wielu i nie tylko ze wszystkich nieomal państwowych szkół warszawskich, ale z całej Polski, jak długa i szeroka. Białystok, Kraków, Poznań, Łódź...

Obok panów były i panie, wszystkie radosne i zapatrzone w niesłychanie zawrotną perspektywę tego, co nas czekało. Towarzyski podróży przemile i niezapomniane, nie straciły nic na „międzynarodowym”, rumuńsko-bułgarsko-tureckim porównaniu.

Przedziwne to jest uczucie, kiedy się słyszy, że za chwilę miniemy ostatnią polską stację. Granica! Śniatyń — Załucze! Nieznaczna rewizja i... Rumunja!

Niedawno był Lwów, niedawno słyszeliśmy wszędzie polską mowę. A teraz na długo będziemy się musieli z nią pożegnać. Prawie na cały miesiąc! Już to wszystko za nami. A jednak niema rzewności, niema łez — jest pragnienie zobaczenia szerokiego świata, innego nieba, gorętszego słońca.

Wieczorem, pamiętam, wjeżdżamy na dworzec w Czerniowcach. Cernauti! (Na pierwszej stacji rumuńskiej Grigore Chica Voda staliśmy ledwie kilka minut i zdążyliśmy tylko spostrzec fenomenalnego dróżnika, który gwizdał przez zęby z niesłychaną siłą). Postój dwadzieścia, trzydzieści minut. Dworzec. wbrew wszelkim przewidywaniom zatłoczony. Są rodacy! Koledzy gimnazjalni — Polacy na obczyźnie, co prawda blisko bardzo ojczyzny... i jak daleko. Rozmawiamy gorączkowo, prędko, urywanie. Tłoczy się tyle słów w wąskiej gardzieli minut, szybko uchodzących. Wzbucha z tłumu „Rota” — za chwilę z wagonów naszych „Tre jaske redzele” — hymn rumuński i potem „Mazurek”. Sapiący potwór porywa nas w daleką noc.

Nazajutrz piękny, czysty, wiosenny dzień. U nas we

kroków. Patrzą ja sobie, aż tu co się nie robi, wstał jeden z tych wielkich węzów wyprostowany jak baletnica na wierzchołku kopca i do tych swoich węzów:

— Tsss, tsss, tsss...

Tu Mamut zasyczał przeciągle.

— A one mu na to:

— Ssss, ssss, ssss...

— I kiwają głowami, więc on znów:

— Tsss, tsss, tsss...

— One znów:

— Ssss, ssss, ssss...

— Tak było z godzinę.

— I cóż pan myśli o tem? — zapytałem niepewnie.

— Jakto co? Przecież to jasne, dawał im rozkazy, bo to był „Król Węzów”.

— A skąd pan się o tem dowiedzia?

— Dowiedziałem się, bo zaraz potem, jak skończył tą przemowę to świsnął. Dopiero wtedy koniec świata, jak te węże nie zaczęły świszczeć, a pisać dalej do domu. To, panie, każdy w swoją drogę. Te do wody, te groblą do lasu, tamte w pole. Raz dwa się rozeszły. Zostały tylko te dwa wielkie. Dopilnowały wszystkiego, że już porządek, że wszyscy podani już się porozchodzili i wtedy dopiero poszły do lasu. A, że do lasu droga wiodła koło mnie przez groblę więc przechodziły tuż tuż. Wtedy właśnie poznałem, że to był „Król”.

— I poczem pan poznał — indagowałem zdumiony, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie po tej niesamowitej opowieści.

— A to przecież takie proste — triumfował Mamut — miał na głowie jakby koronę ze złotych pasczeków.

— A, — jęknąłem przytłoczony spostrzegawczością Mamuta — no, a ten drugi węz? Czem był ten drugi?

— Drugi — odpowiedział z niezachwianym spokojem mój rozmówca — była to „Królowa” — poznałem po tem, że była trochę mniejsza od „Króla” i koronę miała ze srebrnych pasków!

Minęło wiele lat, a jednak jak dziś pamiętam te wszystkie opowiadania z odległej przeszłości i widzę wyraźnie ich autora starszego poważnego grubasa z szumiastym wąsem.

Widzę jak wymachując ręką i kiwając głową snuje swe przedziwne opowieści, a w kącie z błyszczącymi od ciekawości oczami siedzimy my młodzi słuchacze zachwyceni i oczarowani.

Im mniej spotykam w dzisiejszym swym życiu naiwności i staromodnej prostoty, tem milej wspominam tamte dziecięce lata i opowiadania, których się wtedy nasłuchiwałem do syta w długie wieczory jesienne i zimowe.

A teraz, proszę mi uwierzyć, że mamuty żyją naprawdę i, że są to dobrotliwe i miłe stworzenia!

J. Mirski

Lwowie, Stanisławowie śnieg leżał na polach, a tu kwitną młode pędy drzew, życie kipi i krzyczy: „Wiosna!” Rosa na liściach błyska w przelocie, koła stukają jednostajnie, a nam radośnie i ochoczo. Słońce wlewa się mocną strugą do wagonów.

Przychodzi „dyro” i zapowiada, że będą nas przyjmowali w Busău. Szykujemy się, ciekawi i niespokojni na to pierwsze międzynarodowe spotkanie. Jesteśmy!

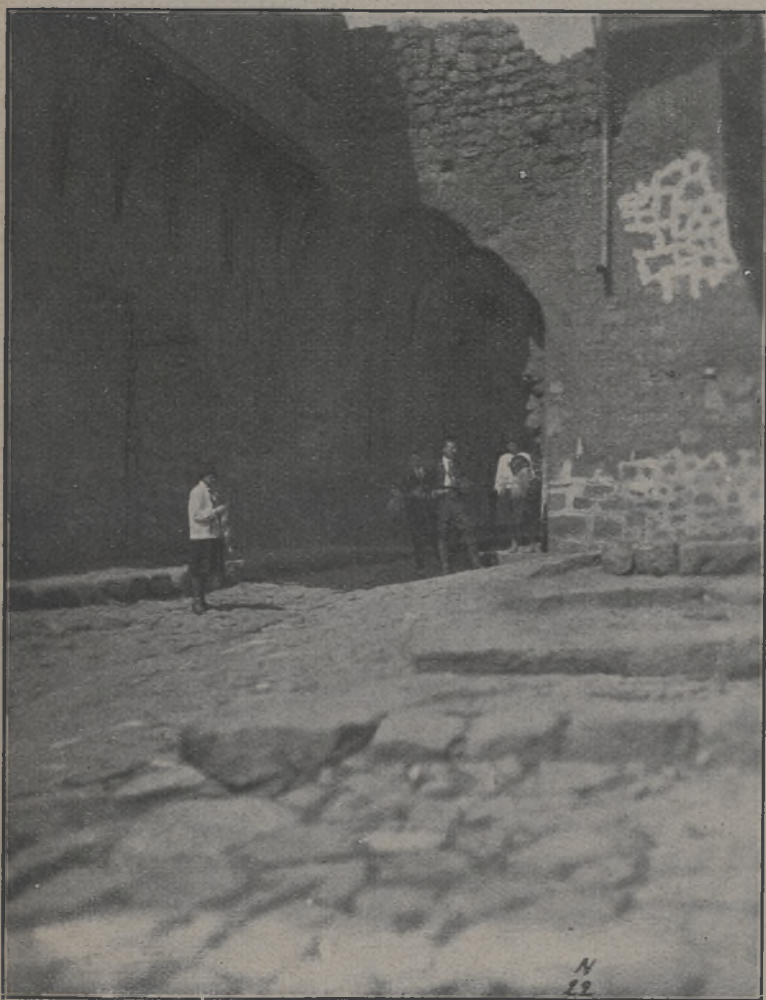
Mały dworzec. Białe, rażące w oczy świetlistą jasnością rozświetlone okien. Tłumy młodzieży szkolnej. Biorą nas w środek, muzyka, okrzyki:

„Tre jaske Polonia mare!”

„Tre jaske Rumunia mare!” — z naszej strony.

Idziemy przepięknymi uliczkami, wśród nieposzlakowane białych murów, wzdłuż których pną się omdlałe, liljowe glicynie. Ogrody tryskające zielonością, śliczne, precudnie budowane wille, błyszczące słońcem i jakby zawartą w nich radością życia.

Uliczki szerokie, wesołe — pełne zapachów i barw, które



Philipopol — Brama z czasów Marka Aureliusza.

padają z kolorowych kul na szczytach domów, rzucane na bruk przez słońce, jak przez carodziejską lampę.

Miasteczko robi na nas wrażenie olśniewające. Stwierdzam dziś, że wtedy było ono „najpiękniejsze”. A w rzeczywistości było jednym tylko z pięknych, kiedy najpiękniejsze leżało w Bułgarii i nazywało się Tirnovo, Płowdiv, czy Warna — naprawdę trudno rozdzielić tu podziw i zachwyt.

Przyjęto nas w Schola Secunda (szkoła średnia wyższa). Usługiwały nam smagłe, skromne pensjonarki, nalewając wielkimi dzbanami wino do naszych szklanek. Wino! Jajecznicę na oliwie — oto pierwsze menu zagraniczne. Przedewszystkiem wino! To też piliśmy na umór, przeciekając pomiędzy patrzącymi na nas oczami „dyra”. Potem spacer. Oglądanie gmachów. Styl zlekka, a czasami nawet bardzo przypominający maurytański. Wszystko w koronkowych, ażurowych

gzymsach, portalach, wieżyczkach. Pałacul comunal (ratusz) — specjalnie piękny.

Rozmowa toczy się po części w języku niemieckim, francuskim... po łacinie. Największe zresztą w czasie wycieczki powodzenie ma esperanto gimnastyczne — „na migi”. Wieczorem z żalem opuszczamy numerowane rumunki (Uczenice bowiem rumuńskie noszą na kołnierzykach mundurków koljne numery. Pozatem rygor jest taki ostry, że nie wolno im chodzić po siódmej wieczorem ulicą, a czułe prowadzenie pensjonarki pod rękę, jak to się u nas na wielką skalę praktykuje, jest nie do pomyślenia, pod grozą... wydalenia ze szkoły! sic!).

I znów pociąg niesie nas dalej. W liście do domu napisałem: „Busau jest ślicznym miasteczkiem. Wino też bardzo dobre”.

Niedługo potem, na drugi dzień mijamy granicę rumuńsko-bułgarską. Warta bułgarska usposabia nas z punktu życiowego do swego kraju, bo wita nasz pociąg głośnie: hura! i salutuje.

Oboriszcze. Powitania i przemowy, w czasie gdy czekamy na następny specjalny pociąg — za kwadrans jedziemy dalej.

Warna!!

Miasto, które pamięta rycerskiego króla Polaków i Węgrov, syna Jagiełłowego, Władysława, który tu na jego polach zginął rzekomo za wiarę, a w zasadzie z poduszczenia Cezariniego za zerwanie pokoju dziesięcioletniego z Turcją. To też najciekawszą i najmudniejszą z powodu okropnego kurzu wycieczką była uroczysta wyprawa na Kopiec Władysława Warneńczyka. Kurz był taki, że ubranie z czarnego stało się szare.

Jednak najpierwsze wrażenia odniesione w tem najsympatyczniejszym mieście rozpoczynały się odrazy na dworcu, gdzie czekało na nas kilka tysięcy młodzieży szkolnej, delegacje. Po hymnach i przemowach poszliśmy wśród ciągle gęstniejącego mroku, w poszumie zwartych tłumów do hotelu. Po drodze padały z okien serdeczne, zrozumiałe dla wszystkich, bułgarskie okrzyki:

„Da żywieje Polska!”

„Da żywieje polskata maładzież!”

Prosto z hotelu, w towarzystwie gościnnych Bułgarów rozeszliśmy się w tajemnicze mroki nieznanego, miłego miasta. Oczywiście nad morze. Niejeden z nas stykał się z niem wtedy po raz pierwszy. Z tarasu w t. zw. Parku morskim świetnie było widać całą Zatokę Warneńską.

Czarno tu było rzeczywiście. Bez żadnego błysku. Horyzont stanowiło pasmo fosforyzującej wody, a daleko na prawo mrugała ostrzegawczo latarnia morska co 15 sekund.

Nazajutrz (8 kwietnia) wstaję bardzo rano i idę na spacer. Nigdy nie zapomnę najbielszych mew, które w słońcu wydawały się czystsze, niż bałkańskie śniegi (Widziane potem zbliższe). Wycieczka parostatkiem do rezydencji królewskiej, do Evxinogradu, przyniosła nam bardzo dużo przyjemności. Tembardziej, że pogoda była wprost idealna. Morze spokojne; zielone, słońcem nasyczone fale łamały się szafirowymi cieniami. Przy śrubie tworzyły się ogromne, wirujące tafle, pocięte żyłami piany, jak marmur.

Pałacul w Evxinogradzie taki sobie, oranżeria prymitywna, ale położenie, jak na południu Włoch!

Skały o które rozbijają się fale perliste — robią na nas nadzwyczajne wrażenie. Od zielonego, poprzez szafir, niebieski coraz ciemniejszy, pas fioleto, zlewa się morze gdzieś ultramarynowym szlakiem z pogodnie nad niem nachylonym błękitem. Biegamy po brzegu i zbieramy muszle.

Wracamy wieczorem. Słońce zachodzi nad morzem. Ciekawie tańczą na szczytach fal.

Po powrocie znowu na spacer. Oglądamy Warnę jak najszczegółowiej. Wrażeń ilość niesłychana. Dwie moje polskie koleżanki, z którymi się wtedy na wędrowkę po mieście wybrałem, nie zapomniały pewnie, tak jak ja długo tego wszystkiego, co tam widzieliśmy i czuliśmy.

Tu przyjmowano nas prosto, szczerze, niewsytaśnie. Gala czekała nas w stolicy, Sofji.

Z Warny do przepięknego, na zboczu gór położonego, Tirnova, u stóp którego płynie rzeka Jantra. Miasto wspina się kondygnacjami, jak dekoracja teatralna. Uliczki kręte, wąskie z silnem piętnem budownictwa tureckiego (Bułgaria bardzo długo była pod najazdem tureckim). Nie widziałem chyba niczego bardziej nastrojowego, jak te białe mury i odosobniony minaret, pełen dla nas czaru. Pierwszy minaret widziany w życiu! Zaczynają się oto egzotyczne wrażenia! Ulice nadto opadają stopniami, aż nad połyskującą Jantrę. Na wygwieżdżonym niebie stoi księżyc. Obrazek, jak z banalnej książki, a dla nas ma on więcej uroku, niż najbardziej oryginalny. Wracaliśmy w takim nastroju w nocy z teatru, w którym wystawialiśmy nasze: „Wesele krakowskie” i gdzie oglądaliśmy piękne widowisko ludowe Bułgarów. Do spotęgowania nastroju przyczyniło się towarzystwo smukłej, czarnookiej Nadzieży, której imię samo posiadało dla mnie niezwykły czar. Cóż, kiedy następnego dnia, wczesnym rankiem uniósł mnie pociąg i został się tylko obraz oczu szeroko rozwartych i pamięć okrzyku: „Bon voyage!” — i po wszystkim.



Włościanie bułgarscy w strojach narodowych.

Z Tirnova do Philipopola (Płowdiv), miasta, które pamięta czasy Filipa Macedońskiego, Aleksandra i Rzymian. My mieliśmy jeszcze szczęście widzieć bramę z czasów Marka Aurelego. W niej stały kiedyś kohorty i manipuły rzymskie, słychać było głosy centurjonów... Cicho! może usłyszymy echo tych najdawniejszych słów. W roku 1928 trzęsienie ziemi zniszczyło niejedno osiedle bułgarskie. Między innymi rozpadła się w gruzy cenna brama.

Niedość tego zabytku historycznego z tak dawnych czasów, mamy niedługo dom, na którym widnieje tablica z napisem, że w nim mieszkał w swojej podróży na Wschód, Lamartine. („Voyage en Orient”). Dokąd potrafi dojść wieczysta sztuka: zdaje się nam, że tuż obok szepce ktoś strofy gallickie. Opaleni słońcem bułgarskiem chodzimy po ulicach

cichych i pustych z powodu strasznego upału, zjadamy lody, pijemy tanie i dobre wino, które uderza szybko do głowy. W tej atmosferze spokoju i godności historycznej czujemy się przedziwnie dobrze, jakby na nas patrzyły wieki, które tu pilnują zwalisk zamku na szczycie marmurowej góry, skąd widać Starą Płaninę (Altenberg)

Wdrodze do stolicy zupełnie nieoczekiwanie, ale za to z nadzwyczajną serdecznością przyjęto nas w Starej Zagorze. Przy wielkim upale wino działało zbyt silnie i odjeżdżaliśmy zlekka odurzeni. Muszę z rozrzwinięciem wspominać to miasteczko, które gościło nas z taką nieklamana, ujmującą sympatią. Na cześć naszą przygotowany był bankiet. Przemowy były najgorszą, jak zwykle częścią przyjęcia i mówca z naszej strony straszliwie się pomylił (powód: wino).

Stąd prosto już do Sofji.

Na dworcu sztywno. Wszelka jednak sztywność pryska, kiedy dostajemy się na ulicy pomiędzy tysiączne, nieprzeliczone tłumy młodzieży szkolnej, wiwatującej na naszą cześć, obrzucającej nas kwiatami. Nastrój przyjaźni i serdeczności tworzy się natychmiast, bo serca są młode i biją radością życia bez względu na granice państw. Idziemy ogromnym pochodem zjednoczonego, młodego braterstwa. Tu, w stolicy nie było już tylu emocyj, oprócz wspaniałego (jeśli chodzi o obsadę śpiewaczą) przedstawienia operowego „Eugeniusz Oniegin”, Czajkowskiego. Pozatem bankiety jeden za drugim. Kobiliśmy nadzwyczajne wycieczki do wszelakich szkół, muzeów, instytucji. Byliśmy na zamknięciu sesji sejmowej jesiennej (Sejm nazywa się tam Narodne Sobranje). Mieliliśmy okazję widzieć wtedy po raz pierwszy króla bułgarskiego, Borysa. Po raz drugi mieliśmy się z nim zobaczyć niespodziewanie w drodze powrotnej, w górach Bałkanu, na stacji Krastec. Rozmawialiśmy z nim wtedy, jak ze zwykłym śmiertelnikiem.

Niezapomniane będzie, wśród strasznego zimna, gośzczenie nas przez gminę Sofijską w podmiejskiej restauracji, w Bojanie. Wracaliśmy ze wspaniałej wycieczki, częściowo odbytej tramwajami, które idą daleko w góry, a częściowo pieszo. Gór dokoła dużo i b. wysokich. Idąc ulicami Sofji widzi się niekiedy górę, która wznosi się tuż za domami. W Bojanie jest cerkiewka św. Pantelejmona aż z XI wieku. Wszystko w niej czuć starość i tem, co się zwie patyną wieków. Rozliczne grobowce królowych nie pozostały w naszej pamięci.

Sofja żegnała nas w dniu pierwszego święta Wielkiej Nocy w kolonji polskiej, która przyjęła nas tak solidnie i obficie, jak nikt dotychczas i potem.

A teraz prosto z tego najserdeczniejszego traktamentu, wśród deszczu, padającego wtedy jedyny raz na całej wycieczce, wsiedliśmy w pociąg, który nas miał ponieść do Konstantynopola. Poprzez padające na szyby krople deszczu widzieliśmy krzywą tęczę, pochylającą się nad setką minaretów i meczetów.

Do Konstantynopola!

J. R. Gietling

Światowy Rozejm Celny

Jednym z najważniejszych czynników działalności gospodarczej nowoczesnego państwa w stosunku do zagranicy, znajdującym silny oddźwięk w rozwoju każdego państwa narodowego, jest tego państwa polityka celna. Cło — opłata pobierana od towaru przy przewożeniu go przez granicę państwa, jest narzędziem, które w ręku wytrawnego praktyka-ekonomisty, znającego dokładnie potrzeby swego kraju, może bardzo poważnie wpływać na bieg wszystkich niemal dziedzin życia gospodarczego. Odnosi się to w szczególności do tak zwanych cel protekcyjnych (opiekuńczych), których działanie najlepiej uzmysłowimy sobie na przykładzie.

Jakieś państwo o słabo rozwiniętym przemyśle posiada znaczne i stałe zapotrzebowanie na wyroby przemysłowe, wobec czego popiera budowę i prowadzenie zakładów fabrycznych na własnym terytorjum. Inne kraje, mające szeroko rozbudowany przemysł, produkujący masowo — a więc tanio, solidną organizację sprzedaży i dużą zdolność kredytową, postarają się oczywiście zniszczyć niepożądanego konkurenta, w postaci młodego przemysłu narodowego i w tym celu sprzedawać będą swe wytwory po cenach niższych od cen produktów krajowych. Zadaniem polityki celnej będzie w tym wypadku nadanie stawkom celnym takiej wysokości, by wyrów-

nały one różnicę między cenami towaru krajowego i zagranicznego, umożliwiając wyrobom krajowym konkurowanie — z obcemi.

Cła protekcyjne mogą mieć, rzecz prosta, na celu również i popieranie wytwórczości rolnej, w każdym razie posiadają one, w mniejszym lub większym stopniu, charakter społeczny, gdyż rozwój produkcji krajowej pociąga za sobą wzrost liczby zatrudnionych i wpływa na zmniejszenie, chronicznego w czasach powojennych zjawiska bezrobocia.

Istnieją prócz tego cła wywozowe, utrudniające wywóz jakiegoś ważnego produktu z granicę, fiskalne — nakładane na artykuły masowego spożycia niewyrabiane w kraju, w celu powiększenia dochodów skarbu państwa, wreszcie cła prohibicyjne, które są tak wysokie, iż uniemożliwiają przywóz pewnych artykułów handlowych, wszystkie one nie wchodzą jednak w zakres naszych rozważań.

Po wojnie światowej powstał, na terenie dawnej Austrii oraz zachodniej części Rosji, szereg nowych państw, zwiększyła się więc znacznie liczba granic politycznych i jednocześnie tak zwanych „barjer celnych”.

Państwa przemysłowe Europy zachodniej: Anglja, Francja, Niemcy, Belgja, zamieszcane przez zgórą 4 lata w wir walki, zaś po jej ukończeniu zajęte odbudową, reorganizacją ustrojów państwowych i żmudnem likwidowaniem skutków wojny, straciły prym w gospodarce światowej, której punkt ciężkości przesunął się do Stanów Zjednoczonych A. P., jako największego kapitalisty, producenta i eksportera doby obecnej. Poza tem powstał szereg nowych, lub rozwinął się — dawnych, niewielkich wprawdzie lecz stale rozbudowujących się i promieniujących na sąsiednie kraje, okręgów przemysłowych: w Azji południowo-wschodniej, Australji, Nowej Zelandji, wschodniej części Afryki południowej, na wybrzeżach La Platy, wreszcie w środkowym Chile. Stara Europa z coraz większą trudnością umieszczać może swe wyroby na rynkach zamorskich, państwa jej wobec tego starają się zabezpieczyć dla własnej produkcji rynki wewnętrzne, co uskuteczniają między innymi w drodze znacznego podwyższania ceł.

W tym stanie rzeczy powstaje niebezpieczeństwo wyścigu w podnoszeniu poziomu stawek celnych, które w rezultacie znacznie pogorszyć może położenie gospodarcze Europy i osłabić jeszcze bardziej jej stanowisko w stosunku do, prowadzących bezwzględnie i egoistycznie (jak każda, racjonalna z punktu widzenia potrzeb własnego kraju polityka ekonomiczna) politykę gospodarczą, Stanów Zjednoczonych.

To też z uznaniem zdawałoby się powitać należy inicjatywę Grahama, angielskiego ministra handlu, który na wrześniowym plenarnem posiedzeniu Ligi Narodów, w roku ubiegłym, wystąpił z projektem wprowadzenia ogólnoświatowego „rozejmu celnego”, polegające na zobowiązaniu się państw-kontrahentów do niepodwyższania swych stawek celnych przez lat kilka. Jednak ustalenie stawek celnych pewnej ilości krajów na parę lat nie może być celem rozejmu: jest ono podstawą dla zawierania przez grupy państw umów regionalnych, o zniżkach celnych. W ten sposób powstałoby zczasem na terenie Europy kilka grup państw, posługujących się w obrotach handlowych wewnątrz każdej grupy niższymi stawkami celnymi od stosowanych do państw pozostałych; grupom tym o wiele łatwiej udałoby się osiągnąć porozumienie w sprawie obniżenia stopniowego wszelkich stawek celnych, niż nieprzyjaźnie do siebie nastrojonym, często posiadającym sprzeczne, podsycane narodowymi antagonizmami interesy, państwom dzisiejszym.

Projekt ten wywołał w kołach gospodarczych i politycznych Europy i Ameryki wielkie zainteresowanie, zwłaszcza, że łączył się genetycznie z koncepcją Brianda, utworzenia gospodarczych „stanów zjednoczonych” Europy, które nazewnątrz — w stosunku do reszty świata, stanowiłyby zwarty front polityki ekonomicznej i znacznie przyczyniłyby się do odrodzenia i rozwoju gospodarczego naszej części świata.

A jednak projekt powyższy, z wielu względów, zasługuje na poważne zastrzeżenia. Niezmiernie charakterystyczne było przede wszystkim zachowanie się większości państw euro-

pejskich po jego ogłoszeniu; otóż rozpoczęło się pośpieszne „łatanie” luk w taryfach celnych, polegające na podwyższaniu szeregu stawek; kierownicy polityki celnej poszczególnych krajów obawiali się bowiem, że w razie podpisania konwencji o rozejmie celnym nie będą mogli w ciągu kilku lat dokonywać w taryfach swych żadnych zmian, woleli więc podwyższyć je zawczasu. Zatem już samo wysunięcie projektu wywołało skutek wręcz przeciwny od tego, jaki rozejm celny miał na celu.

To też konferencja, której obrady rozpoczęły się w Genewie dn. 17 lutego, ujawniła cały szereg sprzeczności interesów państw europejskich. Ze stanowiska polskiego na uwagę zasługuje przede wszystkim fakt niewątpliwego pokrzywdzenia przez ewentualny rozejm celny państw gospodarczo słabszych, przez kraje wysoko uprzemysłowione. I tak na przykład, jeżeli wysokość stawek celnych, która dziś stanowi dostateczną ochronę dla polskich fabryk maszyn i narzędzi rolniczych, zostanie ustalona na lat kilka, to producentom tej samej branży w Niemczech lub Czechosłowacji opłaci się wprowadzić do procesu wytwórczości nowe udoskonolenia i poważne inwestycje, które do tego stopnia zmniejszają koszty produkcji, że umożliwiają wywóz towarów tych do Polski i zaofiarowanie ich po cenach znacznie niższych od krajowych. To samo powiedzieć zresztą można o każdej niemal gałęzi naszego przemysłu, lub przemysłu państw, tak jak Polska spóźnionych, we wszechstronnej rozbudowie własnej gospodarki narodowej.

Ale prócz względów ochrony własnej produkcji przemysłowej przemawiają na niekorzyść rozejmu celnego również i interesy naszego rolnictwa, w szczególności zaś hodowli. Jesteśmy jednym z najpoważniejszych w Europie eksporterów trzody chlewnej, bydła w stanie żywym, w ostatnich czasach również i mięsa. Pozornie to, co przemawia przeciwko rozejmowi w dziedzinie produkcji przemysłowej, powinniśmy uważać za korzystne dla naszej wytwórczości rolnej. Unieemożliwienie naszym odbiorcom podnoszenia ceł na produkty zwierzęce na przeciąg kilku lat, pozwoliłoby polskim producentom tak zorganizować hodowlę i handel, że moglibyśmy z łatwością konkurować z własną wytwórczością importera, jednak w handlu zwierzętami i mięsem ma odbiorca możliwość, opierając się na własnych przepisach weterynaryjnych, ograniczyć nasz wywóz, a nawet całkowicie go zahamować. W szykanach weterynaryjnych celują zwłaszcza Niemcy, którzy w razie potrzeby zawsze znajdą sposób utrudnienia importu, zagrażającego wskutek zaofiarowywania towaru po niskich cenach, interesom ich rolnictwa.

I jeszcze jedno. Gdyby nawet udało się wraz z rozejmem celnym zawrzeć międzynarodową konwencję weterynaryjną, ograniczającą samowolę urzędników kraju importującego, na co się zresztą wcale nie zanosz, gdyby rozwój wytwórczości związanej z rolnictwem miał na rozejmie coś zyskać, to w żadnym razie nie możemy, jako państwo młode, od dziesięciu lat zaledwie prowadzące samodzielną politykę gospodarczą, zamknąć sobie możliwości wszechstronnego rozwijania naszej gospodarki narodowej, przez nadrabianie straconego za panowania zaborców czasu i zrezygnować z posiadania własnego przemysłu, któryby choć częściowo pochłaniał stały nadmiar rąk roboczych.

Od wielu lat prowadzi specjalna komisja prace nad nową polską taryfą celną, która ma zastąpić obowiązującą obecnie, z licznymi wprawdzie zmianami, taryfę rosyjską, niedopasowaną do potrzeb naszego życia gospodarczego. Prace te, jak słyhać, są już na ukończeniu i spodziewać się należy, iż wkrótce nowa taryfa będzie mogła wejść w życie; trudno przypuszczać, abyśmy chcieli wprowadzenie jej odkładać jeszcze na lat kilka.

Powinniśmy korzystać z tych samych praw nieskrępowanego rozwoju gospodarczego, stanowiącego podstawę cywilizacji, jakie posiadały od wielu dziesiątków lat bogate państwa Europy zachodniej i Ameryki.

WRÓG WYSIŁKU MIĘŚNI I WOLI

Sport ma odrodzić człowieka! Wyprostować skarlałą sylwetę w rozrosły, silny, zwinny posąg króla stworzenia — przemienić tchórzostwo — w zimną odwagę, ślimacze wahania — w zdecydowaną stanowczość — śpiące nieróbstwo w rekordowy wysiłek. Dobrze pojęty i wprowadzony przeorać winien bierne masy cherlaków, leniuchów, apatycznych pesymistów w zwartą gromadę społeczną czujną, pracowitą i rozradowaną życiem. Wcześniej czy później, dziś, jutro może spotka się oko w oko ze swym najzaciętszym wrogiem, z którym wczoraj i dziś nieopatrznie może kumał się — z alkoholizmem. Trudno o dwa bardziej jaskrawsze przeciwstawienia. Z jednej strony wyzwolenie ruch, który nie tylko kształtuje mięśnie, ale i w najzyskowniejszy w wychowaniu sposób formuje charakter — z drugiej groźny nałóg, obłęd milionowych rzesz, nie tylko wynaturzający ich fizyczną wartość, ale daleko skuteczniej i niebezpieczniej miszczący najcenniejszą w dorobku ludzkości część psychiki człowieczej, wolę.

Niesposób bodaj ustrzec się dziś przed trądem alkoholizmu. Już w łonie matki ciężarnej, której nieopatrznie truciznę podano, poraża on rozwijający się pod tchnieniem wspólnego krwiobiegu płód — wyspany być może z mlekiem piersi matczynej — towarzyszyć od kolebki aż do zgonu w najwznioślejszych i najprzeciętniejszych chwilach życia.

Nikczemność ludzka, jak nigdzieindziej, osłania go pozorami zysku leczniczego, pokarmowego, przystraja pokostem piękna, zczepiła go silnie z obrzędem religijnym, czy zwyczajem towarzyskim, umotywwowała w wywodach ekonomicznych.

Jedynie proste doświadczenie działania alkoholu na istotę żywej komórki jest zdecydowaną odpowiedzią i fundamentem słuszności walki z tą współczesną klęską społeczną, kroczącej pod rękę z gruźlicą, chorobami wenerycznymi i pro-

Białko, stanowiące zrąb komórki — pod wpływem alkoholu wynaturza się — życie więc niknie. Doświadczenie to uzasadnia cały łańcuch zmian, jakim podlega organizm.

Już w jamie ustnej błona śluzowa ulega porażeniu, osłabia się ochronna czynność migdałków, powstają chroniczne schorzenia, wzrasta łatwość zakażeń. Wędrując dalej wprowadza alkohol systematycznie katar żołądka, nieżyty jelit, przesączony do krwi atakuje wszystkie po kolei organa. Osłabia zdolność filtracyjną wątroby, która niweczy trucizny, wchodzące do krwi drogą przewodu pokarmowego, — prowadzi do żółtaczki i puchliny brzusznej. Degeneruje ściany naczyń krwionośnych, niszcząc ich elastyczność (miażdżyca), współdziałającą z pracą serca, które przerasta chorobowo i wiotczeje. Paraliżuje oczyszczającą zdolność nerek, wnika do gruczołów rozrodczych, zniekształca plazmę zarodową. Najzłubniej jednak wpływa na tkankę nerwową, i to tem silniej, im delikatniejsza, później nabyta, odpowiadająca, wyższym czynnościom duchowym.

Obserwujemy pijącego! Najdelikatniejsze zmiany ujdą naszej uwadze. W każdym razie niewątpliwie pierwszym objawem wpływu jest sparaliżowanie ośrodków woli. W towarzystwie pijącym nagle wzrasta ożywienie. Ludzie czujni, uważni, krytyczni — nagle plotą rzeczy, którychby nigdy wypowiadzieć nie śmieli, decydują bezapelacyjnie, grożą, pozwalają sobie na nieprzystwoitości i poufałości zdumiewające. Myślenie pozornie bogate, efektowne — przeraża płytkością. Bójki, burdy, awantury, bijatyki, morderstwa — litanja, nierozzerwana z refrenem: „wszystko zaczyna się od kieliszka!”

Pomińmy tę ogólną analizę wpływów na życie współczesne i ścięśnijmy ją tylko do interesującego nas zestawienia alkoholu ze sportem. Z jednej strony dni całe tracę nad usprawnieniem mięśni, nad pobudzeniem ich rozrostu, nad sharmozowaniem funkcji organów — z drugiej degeneruję alko-

holem mięśnie, płuca, serce — osłabiam, rozbijam ich cudowne współgranie. Serce i płuca alkoholika nie tylko nie odpowiadają wymogom wysiłku sportowego, ale nie zaspakajają dostatecznie niewielkich potrzeb ruchów codziennych, koniecznych. Wzmożenie wysiłku to tylko pozór i groźne niebezpieczeństwo. Alkohol ma tę „zaletę”, że wyzwala wszelkie zasoby energii, drzemające w człowieku, których magazynowanie jest również celem sportu. Subiektywne zmęczenie, sygnał ostrzegawczy, ginie pod wpływem dawek, umożliwiając nadzwyczaj szybko przetrenowanie. Zanika wszelka kontrola, wszelki umiar, człowiek wyładowuje się maksymalnie. Powie ktoś, że o ten maksymalny wysiłek chodzi właśnie w sporcie, że właśnie alkohol ułatwia rekordowość wyczynu.

Pomijając cel i założenie sportu, dziś niestety nie przestrzegane, że rekord ma być zdrowym przejawem efektywnym wspaniale funkcjonującego człowieka, a nie jedyną, rujnąjącą ekspansją, że ma przeciw gromadzić energię podkładową do wysiłku wartościowego, psychicznego — a nie brutalnej, czystej siły ... trzeba rozwiać złudzenia o „pomocy” alkoholu w zawodach. Cały szereg doświadczeń nad wpływami małych dawek alkoholu (Zasłużony badacz prof. Popielski) stwierdza, że pierwszym objawem następczym w pracy fizycznej jest utrata precyzji. Pozornie zwiększona ruchliwość kryje tysiące ruchów nieopanowanych, niepotrzebnych, bezcelowych. O wiele gorzej pracowali po 40 gramowej dawce zecerzy, jubilerzy, dekarze i t. d. Punkt ten ma pierwszorzędną wagę w sporcie. Precyzja ruchu, ekonomja i celowość wysiłku to podstawowe warunki sportu. Jeśli zestawimy konieczną harmonję i dokładność skoku pływackiego, czy narciarskiego, rzutu dyskiem, czy oszczepem, wyprowadzenia klingi szabli, nastawienia rakiety — z bezładem, dysharmonją ruchów alkoholika — widocznych dopiero w swych krańcowych objawach, tak śmieszających nas, dochodzi się do wniosku, że tych dwóch rzeczy i w tym punkcie nigdy pogodzić nie można. Najciekawszym punktem treningu jest przeistoczenie wysiłku świadomego, utrudniającego — w automatyczny, lekki swobodny ruch. Tę cudowną dążność organizmu do jaknajdalszych oszczędności wysiłku psychicznego paraliżuje znów w sposób zdecydowany wpływ alkoholu. Wreszcie najwyższe czynności psychiczne tak mocno związane z wychowawczym wpływem sportu — najdotkliwsze klęski ponoszą od tej trucizny. Sport kształci niewątpliwie charakter. Stanowczość, odwaga, lojalność, zaciętość — to bliscy krewni, potomstwo woli — która w sporcie rozstrzyga o klęsce, lub zwycięstwie, nie tylko formalnem, ale również istotnem.

Gdyby tak zbadać wypadki niesubordynacji, awantur, chamstwa i brutalności — jakie się coraz częściej rodzą na boiskach i stadjonach, wśród zawodników i widzów — niewątpliwie wykryłoby wciskający się podstępnie wpływ, paraliżującego rozwój idei sportowej, — alkoholu.

Przebiegnijmy myślą wywody artykułu i zakreślmy ich główne punkty.

Pięknie, celowo zbudowane ciało — jakie sport modeluje w swym dobroczynnym ruchu — toczy nieustannie trucizna. Rezultat: zamiast półboga, który mocen jest zadziwić żelazną mocą swych mięśni, więzadeł i stawów, cudowną sprawnością miechów płucnych i motoru 1000-krotnego serca — ruina i karykatura schorzałego człowieka. Najjaskrawiej ten wpływ widać przy zetknięciu się plemion dzikich z „wodą ognistą” (Indjanie!).

Foramalne kształty ożywia, harmonizuje w wysiłku, zstraja działalność mózgu. Poematem ruchowym jest skok o tyczce, rzut dyskiem, miękki łuk narciarza, węzowy skok pływacki, piorunujący cios szabli. Cóż mówić o wpływie alkoholu na te wykinty ruchu, pełnowartościowe estetycznie zjawiska — jeśli zestawimy je z grozą pijackich wyczynów, owych humorystycznych zakosów od ścieku do ścieku, lub tragicznej i być może daleko straszliwszej w skutkach drżączki, apatii i nieporadności ruchowej alkoholika, wplątanego w błę-

dne koło, który paradoksalnie musi usuwać czasowo drżączkę nowymi zatruciami (muzycy). Wreszcie najwyższe czynności. Celem sportu jest poddanie człowieka pod rozkazy woli, zdyscyplinowanie wewnętrzne, opanowanie, uspołecznienie — alkohol najsilniej niszczy krytycyzm, rujnuje wolę niejednokrotnie po pierwszym w życiu kieliszku, pełną swobodną istność człowieczą dusi w ciasnych ścianach nałogu. Najcenniejsze zyski kultury — burzy najłatwiej i w sposób uchodzący uwagi większości, której wzrok zamglili opary i wyzwiewy trucizny. Na innym miejscu wykazywałem jak daleko sięga pobratymstwo sportu z kieliszkiem („Stadjon“). Skończyć

się ono musi w sposób zdecydowany. Dwaj wrogowie muszą zaprzestać udawania, że jeden drugiego nie zna, spojrzeć sobie po męsku w oczy i chwycić się za gardła. Jeśli kto dzisiaj ma najsilniejszy chwyt, na oślizgłą krtań alkoholizmu — to przedewszystkiem sport. Jest to kwestją jego życia i śmierci, uzasadnieniem celowości lub farsy istnienia.

Najmłodszy czynnik wychowawczy w kolebce chwycić musi hydrę za łeb, bo inaczej w kwiecie wieku skończy na „delirium tremens“ lub „padaczkę alkoholową“.

Antoni Wójcicki

Jak prowadzić zebrania

Zastanawiałem się dość długo, czy artykuł na ten temat będzie harmonizował z wysokim poziomem i ciekawą treścią tych prac, jakie się dotychczas w „Sterniku“ ukazały, czy nie będzie odbijał od nich zbyt jaskrawo swoją — powiedzmy — formalną... beztreściowością. Doszedłem wszakże do przekonania, że — choćby nawet tak być miało — to jednak poruszenie sprawy techniki obradowania może być pożyteczne, a to ze względów następujących.

Demokratyzacja wszystkich dziedzin życia społecznego stwarza konieczność częstych zebrań i stałego omawiania rozmaitych problemów; dyskusja nad wszelkimi zagadnieniami, nie wyłączając oczywiście najpoważniejszych, o ile ma być owocna — musi być prowadzona w sposób składny i planowy. Brak wyrobienia parlamentarnego, tak często niestety u nas spotykany, brak znajomości podstawowych zwyczajów i zasad regulaminowych — utrudniają ogromnie obradowanie, powodują przewlekłość zebrań i ich chaotyczny przebieg, wywołują nieraz w ich uczestnikach znużenie, lub zniechęcenie do życia zbiorowego. Dobrze poprowadzone zebranie daje z reguły pomyślne wyniki, źle — najczęściej nie osiąga swego celu, lub osiąga go kosztem nieproporcjonalnie dużego wysiłku. Każda treść wymaga odpowiadającej jej formy.

Nie możemy oczywiście przedstawiać tutaj wszystkiego, co na temat sztuki obradowania dałoby się powiedzieć. Zabrałoby to zbyt dużo miejsca. Podamy tylko kilka uwag ogólnych i omówimy pewne kwestje, które najczęściej nastroczają wątpliwości.

I. Istnieją różne rodzaje zebrań, wszystkie one jednak dają się sprowadzić do następujących 3-ch grup zasadniczych: 1) zebrania typu **parlamentarnego** — walne zebrania, zjazdy, rady nadzorcze i t. p.; rola przewodniczącego jest tutaj niemal zupełnie bierna, czysto porządkowa, przyczem z reguły jest on wybierany przez ogół zebranych i ustępuje na ich żądanie; im większy jest zespół, tem więcej stosuje się formalistyki; ta kategoria zebrań nadaje się jedynie do obradowania i orzekania, nie zaś do stałej pracy; 2) zebrania typu **kolegjalnego** — zarządy, komisje, komitety redakcyjne i t. p.; władza przewodniczącego jest zazwyczaj znacznie większa, jego rola bardziej czynna; jest on właściwym kierownikiem pracy, odpowiedzialnym moralnie za jej wyniki; b. często przewodniczący jest wybierany przez zespół inny, niż ten, którym kieruje, i jest przed tym ostatnim formalnie nieodpowiedzialny (np. walne zebranie wybiera oddzielnie prezesa i oddzielnie członków zarządu); ten rodzaj zebrań jest najczęściej spotykany i praktycznie najważniejszy, jednak kierowanie takimi zebraniem nie nastrocza szczególnych trudności; zasadą powinno być, aby jaknajmniej formalizować, co oczywiście nie wyklucza przestrzegania porządku; 3) t. zw. „**odprawy**” — zbiórki harcerskie i wojskowe, konferencje urzędnicze, narady rzeczoznawców, i t. p. do tego typu zbliżają się także rozprawy sądowe, chociaż stanowią one właściwie typ odrębny; tu władza przewodniczącego jest największa, przemożna, kieruje on niemal zupełnie dowolnie przebiegiem zebrania, zawsze zaś jest od zebranych niezależny.

II. Na zebraniach wszystkich trzech kategorii na plan pierwszy wysuwa się **urząd przewodniczącego** i jego osoba. Bardzo często łatwiej być prezesem dużej instytucji, niż przewodniczącym licznego zgromadzenia. Przewodniczący musi być człowiekiem wyrobionym pod względem organizacyjnym, jednostką taktowną i opanowaną, oraz odznaczać się zupełną bezstronnością w sprawowaniu swych czynności.

Na dużych zebraniach pożądane jest, aby posiadał on głos dostatecznie donośny. Nadto przewodniczący winien być dokładnie obznajmiony z porządkiem dziennym, wiedzieć, kto jakie sprawy referuje, i być przygotowanym do zrefrowania osobiście tych punktów, których przedstawienia nie podjął się nikt inny. Na dużych zebraniach przewodniczący winien przemawiać możliwie rzadko, przyczem na ten czas musi go w przewodniczeniu ktoś zastąpić; na małych zebraniach ograniczenia te są zbędne.

Przewodniczący ma prawo wymierzania **kar parlamentarnych**, a mianowicie: 1) gdy treść przemówienia odbiega od porządku obrad — przywołania „do rzeczy“, lub odebrania głosu, 2) gdy forma przemówienia jest niewłaściwa, albo zachowanie nieodpowiednie — przywołania „do porządku“, odebrania głosu, pozbawienia głosu do końca zebrania, wykluczenia z zebrania i t. d.; kary te należy wymierzać z wielką oględnością.

Niektóre regulaminy dają przewodniczącemu prawo niedopuszczania mówcy do głosu, o ile widoczna jest z jego strony chęć „obstrukcji“. W rękach stronniczego przewodniczącego jest to oręż niezmiernie groźny. Na małych zebraniach jest to wogóle niedopomyślenia.

III. Dalszem ważnem zagadnieniem jest sprawa **porządku dziennego**. Na układanie porządku dziennego niema ustalonych wzorów, zależy on od szeregu czynników. Należy wszakże pamiętać o jednej zasadzie: **poto istnieje porządek dzienny, aby do spraw, już załatwionych nie wracać!!**

IV. Liczba osób, potrzebnych do ważności obrad („**quorum**“), określana bywa rozmaicie: na małych zebraniach zwykle $\frac{1}{2}$ uprawnionych, na dużych — $\frac{1}{3}$, lub $\frac{1}{4}$. W każdym razie zebranie, prawomocnie rozpoczęte, nie powinno już później ulegać przerwaniu, nawet jeżeli okaże się brak quorum.

Instytucja „quorum“ ma wielu przeciwników, którzy nie bez racji zarzucają jej, że uzależnia ona losy zebrania od tych, którzy się niem nie interesują, co jest niezbyt wychowawcze. Równie niecelowy jest często spotykany zwyczaj zwoływania zebrań „w dwóch terminach“ w odstępie 15-tu, lub 30-tu minut; jest to zupełnie niepotrzebna formalistyka.

V. **Dyskusja** toczyć się powinna w miarę możliwości **nad wnioskiem**, nie zaś **nad sprawą**. Przypuśćmy np., że omawiana jest sprawa składek członkowskich: jeden mówca kwestjonuje ich potrzebę, drugi wysokość, trzeci krytykuje ściąganie co kwartał, czwarty zbyt wysokie odsetki za zwłokę, piąty proponuje zaangażować inkasenta. Przewodniczący winien, zorjentowawszy się w sytuacji zarządzić dyskusję pokolei nad poszczególnymi wnioskami, a następnie głosowanie w sposób analogiczny. W podanym powyżej przykładzie — o ile zwycięży stanowisko, żeby składki znieść wogóle i zastąpić je wpisowem, to poco dyskutować nad ich wysokością. Nad przebiegiem dyskusji winien czuwać przewodniczący. Gdy czasu jest mało, a sprawa stosunkowo błaha, należy dyskusję „gilotynować“. Nigdy jeszcze jałowe gadulstwo nie wyszło nikomu na dobre. Czasem najwygodniejsze będzie ograniczenie czasu przemówień. Istnieją wszakże i inne sposoby skrócenia dyskusji: 1) zamknięcie listy mówców (wolno się jeszcze zapisywać do głosu); 2) zamknięcie dyskusji (przemawiają tylko osoby, już zapisane); 3) przerwanie dyskusji (nikt więcej nie przemawia); 4) wybór mówców generalnych. W każdym wypadku przyjęte jest, iż referent, lub wnioskodawca przemawia ostatni, zaś koferent, lub autor poprawki — przedostatni.

dok. nastąpi

Jurysta

Z PRZYRODY i TECHNIKI

WSPÓŁCZESNE POCHODNIE

Zaledwie pół wieku upłynęło od czasu, kiedy pierwsza lampa żarowa rozjaśniła mroki małego wówczas laboratorium Edisona. Od czasu tego miliony elektrycznych światel, rozsianych po całym ziemskim globie, gęstą siecią objęły wszystkie kontynenty.

W dużych miastach nie odczuwa się już wogóle, jakim cudownym wynalazkiem była owa pierwsza lampka Edisona, i mimo, że częstokroć stosujemy i urządzamy oświetlenie domowe nieracjonalnie, trudno nam wyobrazić sobie życie bez lampki żarowej. Z wzrostem techniki powiększają się jednak nasze wymagania i światło żarówek już nam nie wystarcza.

Żalą się więc przede wszystkim właściciele wielkich magazynów, że światło elektryczne obecnie używane, jest zasłabe, przytem zmienia znacznie barwy materiałów.

Lampa żarowa dość prędko się zużywa. Metalowe druciki znajdujące się w jej wnętrzu powoli wyparowują, wobec czego tworzy się osad metaliczny na szkle żarówki, który zmniejsza jej jasność.

Największe jednak i najbardziej wygórowane żądania stawia kwestii oświetlenia lotnictwo. By zabezpieczyć samoloty przed wypadkami podczas nocnego lądowania, budowano wysokie wieże z potężnymi reflektorami, świetlne słupy, których ślizgały się po przyległych okolicach. Światło to w noc pogodną widoczne było w promieniu 50 kilometrów. W razie niepogody jednak zasięg świetlny zmniejsza się do kilku tylko kilometrów. Łatwo więc samolot mógł ominąć cel.

Dziś dowiadujemy się o nowej zdobyczy techniki w tej dziedzinie. Skonstruowano nowe lampy, znacznie jaśniejsze od żarówek. Pierwotypy tych lamp są nam już znane. Na ulicach co wieczór wzrok nasz raduje wielka różnorodność świetlnych rur, wygiętych w kształt liter sławiących czekoladki Fuchsa, gumy Dunlop, żarówki Osram i t. d. Gdy bliżej przyjrzymy się tym cackom techniki reklamowej, skonstatujemy, że na końcach każdej rurki wlotowane są krótkie druciki połączone przewodami elektrycznymi. W samym zaś wnętrzu rurki prócz świetlnej smugi nie możemy nic dostrzec, rurkę bowiem wypełnia rozrzedzony gaz argon. Pod wpływem prądu zmiennego o wysokiej częstotliwości, przepływającego przez ten gaz milionowe rzesze elektronów poruszają się z zawrotną prędkością kilkudziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę przez szklane zwoje i doprowadzają światowy eter do drgań, czyli wysyłają fale świetlne.

Światło tych rurek wystarcza do świetlnych reklam. A trudności techniczne, z którymi długo walczone polegały właśnie na tem, by powiększyć siłę świetlną. Ostatnio wreszcie usiłowania się powiodły, zbudowano nową lampę elektryczną, przeznaczoną chwilowo tylko do zastosowania w wielkich latarniach portów morskich, lub lotniczych. Wyobraźmy sobie szklaną kulę wypełnioną rozrzedzonym neonem. Oto zasadnicza część nowej lampy elektrycznej, która nie łączy się nigdzie z przewodem elektrycznym i nie posiada w swej budowie najmniejszej cząsteczki metalu. Należy ją tylko ułożyć pomiędzy zwojami elektromagnesów, przez które przepływa prąd zmienny. Wskutek stale zmieniającego się pola elektrycznego wykonują wewnątrz kuli nader prędkie ruchy wahadłowe i wysyłają za pośrednictwem eteru fale świetlne.

Takie magnetyczne lampy będą zgola niezniszczalne, nic bowiem w nich nie może ulec zużyciu; będą również tanie, gdyż prócz gazu neonu nie posiadają niczego w swym wnętrzu. Jeśli w ścianach naszego pokoju znajdują się zagłębienia, będzie można tam umieścić te świecące kule, nie przyczepiając ich wogóle, zwoje zaś elektromagnesów mogą być ukryte w murze.

Niemą wreszcie straty energii elektrycznej wskutek ogrzewania się kuli, światło owych hasających elektronów jest zupełnie zimne. Na wieży w Schenectady ustawiono z wielkim sukcesem taką lampę elektryczną bez drutu, świeci ona tak jasno, że w odległości trzech kilometrów można jeszcze czytać gazetę (oczywiście w nocy).

O innej również silnej pochodni donoszą z Charlottesville w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Ustawiono tam olbrzymi reflektor elektryczny, którego promienie posiadają siłę przeszło miljarda świec! W noc pogodną światło tej latarni widać z odległości 500 kilometrów, a nawet w czasie największej mgły tworzy się na ogromnym obszarze jasna poświata umożliwiającą lotnikowi orjentację.

Do innego jeszcze celu zużyto latarnię z Charlottesville.

Jak wiadomo rozproszone we dnie w powietrzu światło słoneczne blaskiem swym uniemożliwia dojrzenie subtelnych chmur przeciągających w wyższych regionach, w noc pogodną zaś światło lampy z Charlottesville, skierowane pionowo, umożliwiło dostrzeżenie obłoków na wysokościach, na których dotąd ich nie obserwowano.

Wobec tak potężnych źródeł światła lampy naftowe i oliwne naszych przodków wyglądają, jak nieudolne zabawki dziecięce. Przeszłość tonęła w ciemnościach, nasza epoka zalała Ziemię potokami światła.

dr. F. Burdecki

Ze świata książek

Gamaston (Kamieński Gustaw): Fata morgana.

Tak niewiele mamy w polskiej literaturze powieści z życia młodzieży, że doprawdy opowiadanie Gamastona jest niemal unikatem w tej dziedzinie.

Znamy wprowadzić współczesne autorowi typy studentów, choćby w utworach Prusa, lub Sienkiewicza, ale całkowite powieści poświęcone życiu studenckiemu, to doprawdy w literaturze naszej rzecz niespotykana.

Gamaston (Gustaw Kamieński) studjował w Szkole Głównej w Warszawie. W tej samej Szkole Głównej, która tyłu wydała sławnych literatów i uczonych. Nic też dziwnego, że z takim zajęciem obserwujemy w jego powieści życie tej tak sławnej i tak znanej wszystkim z opowiadań wyższej szkoły.

Trzeba przyznać, że jednak przeczytanie tej książki wiele sprawia obecnemu studentowi przykrości. Jakież to inne były czasy! Jacy inni ludzie, zarówno profesorowie, jak i studenci!

Przeglądamy się tym gamastonowskim studentom, którzy już dziś stali się przysłowiami i, niestety, tylko przysłowiami typami i szukamy w gronie naszych obecnych kolegów.

Gdzie jesteście dobrzy koledzy: Spinoza, Budrysie, gdzie Bartnicki i mały Bielski?

Jakże to już dziś odległe czasy. Jak się bardzo zmienili ludzie. Choć nie, ludzie zostali tacy sami, to tylko zaginął ten dawny typ studenta. Szkoda!

Dziwna to jednak książka, ta „Fata morgana”, takie sobie niby „opowiadanie z czasów studenckich”, przypomnienie przeszłej młodości autora, a przecież kiedy ją czytamy tyle budzi w nas myśli i pragnień.

Wstyd pomyśleć, że ci dawni studenci w tak znacznie gorszych warunkach studjujący i żyjący potrafili więcej robić dla społeczeństwa i dla siebie, będąc równocześnie dumą i miłem utrapieniem dla swego otoczenia. A dziś — doprawdy jakże wiele się zmieniło i to nie na korzyść.

Więc proszę was bardzo moi Czytelnicy, wy którzy w najbliższym czasie macie włożyć studenckie czapki, abyście się dobrze zapoznali z naszymi dawnymi kolegami z temi przysłowiami studentami Gamastona.

Waszem jest zadaniem wskrzesić i znów powołać do życia takie typy, jak Spinoza, Bartnicki, jak Malecki i Patkiewicz dobrego Prusa i jak student z „Hani” Sienkiewicza.

A jeżeli się komuś wydaje, że to już zbyt dawna przeszłość, to się myli, bo właśnie oni — tamci studenci, byli młodzi i na zawsze zostaną symbolem zdrowej radości życia.

P. S. Ponieważ wiem, choćby z „Kolumny Młodych Piór”, że wiele z pośród naszych Czytelniczek i Czytelników interesuje się literaturą, bądź to pisać, bądź też pragnąć ją gruntownie poznawać. A ponieważ wiem również jak trudno jest w tej dziedzinie dać sobie samemu radę, więc proszę, aby wszyscy mający jakieś trudności zgłaszali się do mnie listownie (adresować do redakcji dla Mika), a może uda nam się wtedy zaprowadzić dział porad, jak skompletować bibliotekę, co czytać chcąc pisać wiersze, co prozę, jak studjować literaturę dla własnej przyjemności, lub użytku i t. p.

Liczę, że na taki apel zasypany zostaną listami i z niecierpliwością oczekuję tego.

Mik.

O wszystkim potrosze

„BURSZTYN”.

Któż z nas nie zachwycał się miłymi swą gładkością i barwą paciorkami z bursztynu? Komuż nie znany jest fakt, że bursztynu, tego tajemniczego półkamienia, półżywicy, używano jako jednego z ważnych składników kadzidła kościelnego? W każdym niemal podręczniku fizyki, we wstępie do rozdziału o elektryczności, znajdujemy wiadomość o tem, że bursztyn potarty o sukno przyciąga małe skrawki papieru lub wełny, że siła powodująca to zjawisko była znana jeszcze w starożytności i że dawni Grecy nazywali bursztyn „Elektron”.

Starożytność znała dobrze bursztyn, daleko więcej niż my zachwycały się jego miodną barwą i ceniła go na równi z drogiemi kamieniami. Bursztyn, dzięki swemu tajemniczemu pochodzeniu (uważano go za „pomiot zgęszczonego morza”), miał podobno wysoce magiczne właściwości i dlatego nadawał się do wyrobu amuletów. Noszony przeto na szyi chronił podobno od obłędu oraz cierpień uszu i oczu. Trzymany w ustach uzdrawiał zęby, zażyty w proszku leczył dolegliwości żołądkowe. W niektórych miejscowościach dzisiejszej Italii wierzono święcie, że chroni przed podagry i wolem. Jasne i przezroczyste kawałki bursztynu były uważane za zbiorniki dodatnich sił duchowych.

Ciekawe rzeczy o historii handlu bursztynem opowiada dr. W. Berndt z Monachjum, jeden z dobrych znawców tej kwestji. Wątpi on coprawda, czy napis klinowy na obelisku asyryjskim z X st. przed Chrystusem odnosi się do morza Północnego i Bałtyku („W morzach wiatrów północnych karawany jego poławiają perły, w morzach, gdzie gwiazda północna znajduje się w zenicie, bursztyn”), twierdzi jednak, że dawni Grecy otrzymywali stamtąd za pośrednictwem Fenicjan pierwsze transporty bursztynu. Wysoce kulturalni Etruskowie i ludy z okolic Rodanu i Renu znały dobrze ów produkt północnych mórz. Znaleźiska na starożytnym trakcie, ciągnącym się na południe wzdłuż Renu, wskazują dokładnie na to, jak poważnym artykułem handlowym był wówczas bursztyn. I Rzymianie zapoznali się z nim dzięki Etruskom.

Mniej więcej na 300 lat przed nar. Chr. niejaki Pytheas z Marsylii handlowiec i uczony w jednej osobie udał się na wybrzeża Morza Północnego i odkrył poprostu dla Rzymian nową strefę wpływów handlowych. Pytheas twierdzi, że w jednej z zatok Morza Północnego, mniej więcej o jeden dzień żeglugi od wybrzeża, znajduje się obfitująca w bursztyn wyspa Abalus (prawdopodobnie dzisiejszy Helgoland) i że na jej brzegach wiosenny przybór wody pozostawia masy bursztynu. Mieszkańcy tej wyspy posiadają go w takiej obfitości, że używają go zamiast opału. Plinusz młodszy w swej znanej historii naturalnej opowiada wiele o bursztynie. Zna on różne rodzaje bursztynów, z których ciemnożółte i przezroczyste osiągały najwyższą cenę, podczas gdy białe, odznaczające się doskonałym aromatem, używano jako kadzidła. Współcześni Plinuszowi umieli barwić bursztyn za pomocą purpury oraz różnych barwików roślinnych i tego rodzaju preparat bursztynowy był często droższy od wielu szlachetnych kamieni. Mała figurynka wyrzynana z bursztynu kosztowała drożej niż niewolnik.

Na wiele, wiele lat przed naszą epoką handlowano więc bursztynem ze słowiańskiego Bałtyku. Liczne karawany podążały znanym starym traktem handlowym ku Dunajowi i Czarnemu Morzu. Ciekawą rzeczą jest, że już i wówczas doskonałym rynkiem zbytu dla bursztynu były przetrzenie dzisiejszej Rosji, która i przed wojną światową zaliczała się do najlepszych odbiorców tego produktu.

Upodobania ludzkie mało się zmieniają. Sztuka obrabiania bursztynu stoi obecnie bardzo wysoko. I dziś jeszcze powracając z wywczasów z nad naszego, polskiego nareszcie, brzegu przywozimy chętnie bursztynowe gościńce, które wiele wywołują radości.

Dr. E. S.

BOBRY MĄDRZEJSZE OD INŻYNIERÓW.

W jednym z jezior stanu Washington w Ameryce Północnej stale opadał poziom wody, grożąc zupełnem wyschnięciem jeziora, co spowodowałoby upadek wzorowo i na szeroką skalę prowadzonej hodowli pstrągów. Wszelkie wysiłki inżynierów zamknięcia podziemnego ujścia wody pozostały bez rezultatu. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł osiedlenia na jeziorze pary bobrów. Zwierzęta zbudowały sobie chatkę, następnie zaś zabrały się do pracy i wkrótce wzniosły podwodną tamę, która nie-

tylko powstrzymała odpływ wody lecz nawet spowodowała podniesienie się jej poziomu o parę stóp. Wejście do domku bobra znajduje się zawsze pod powierzchnią wody, to też zwierzętom tym zależy na utrzymaniu jej na stałym poziomie. Tama zbudowana przez bobry spełnia całkowicie swe zadanie, zwłaszcza że czworonożni inżynierowie stale doglądają jej i w razie potrzeby naprawiają.

Co się dzieje w sporcie

Największą aktualną imprezą sportową dni ostatnich są bezwątpienia mistrzostwa narciarskie Europy, rozgrywane w tym roku w Norwegji (w zeszłym organizowała je Polska) w Holmenkollen. Cechą charakterystyczną mistrzostw jest przyniatająca przewaga Norwegów we wszystkich konkurencjach. Niejednokrotnie kilkanaście pierwszych miejsc zajmują świetni Norwegowie, za nimi kroczą Szwedzi i Finlandczycy. Środkowa Europa kontentuje się dopiero dalekimi miejscami koło 20-30 miejsca. Nic dziwnego też, że nieliczna ekspedycja Polska nie uzyskała błyskotliwych sukcesów — klasyfikując się w ostatniej grupie rywali na bliższych lub dalszych miejscach.

1) W biegu wojskowym patroli wygranym lekko przez Norwegję, Polacy zajęli biegowo 8 (ostatnie) miejsce, w strzelaniu uzyskując doskonałe trzecie.

2) Bieg wojskowy indywidualny na 30 km. ze strzelaniem, w którym startowało 307 zawodników (największa impreza narciarska!) zakończył się zwycięstwem Valkama (Finlandja) przed Norwegami, Szwedami i Niemcami. Z Polaków kpr. Kozik uzyskał 16 miejsce, co uważać należy za najwartościowszy sukces naszych wysłanników.

3) Bieg 17 km. rozegrany w trudnym terenie przyniósł Norwegom w zysku 18 miejsc w pierwszej trzódziesiątce zwycięzców (w tem oczywiście dwa pierwsze miejsca). Doskonale spisali się Finlandczycy i Szwedzi. Z Polaków 52) Szostak Karol, 63) Czech Br.

4) Konkurs skoków zgromadził na starcie 114 zawodników i 40.000 widzów. O przewadze Norwegów świadczy fakt, że wśród 50 pierwszych wcisnęło się tylko 4 zawodników zagranicznych. Br. Czech zajął doskonałe 34 miejsce.

5) Bieg złożony (18 km. i skoki): a) Bieg 18 km do kombinacji przyniósł następujące wyniki: 1 — 15 Norwegowie, 16 dopiero Finlandczyk, 41) Szostak, 42) Czech Br.

b) W skokach do biegu złożonego wzięło udział 223 zawodników, liczba widzów dosięgła 65.000. Klasyfikacja dotychczas nieznana.

6) W dniu, w którym oddajemy numer do druku — 146 zawodników wybiegło na trasę 50 km. — maratonu narciarskiego. Z Polaków biorą udział Czech Br. (!), Kuraś i Motyka.

Z podrzędnych imprez narciarskich wymienić należy zawody w Westerowie, gdzie Polacy zajmują wszystkie pierwsze miejsca. Bohaterzy tych zmagają to Marusarz i Polankówna.

Turniej hokejowy o mistrzostwo Polski zgromadził na starcie w Krynicy 9 drużyn, o niezwykle wyrównanym poziomie gry. AZS (Warszawa) tradycyjnie zajął 1 miejsce, nie mógł jednak zwyciężyć Pogoni (Lwów) 0:0 i nieznacznie tylko pokonał Legję (Warszawa) — 2:0. Czwarte miejsce zajęli Czarni (Lwów).

Bokserzy polscy w walce z Czechosłowacją zdobyli zaledwie wynik remisowy 8:8, jakoby zniekształcony intrygami Czechów.

Zwycięstwa z naszej strony odnieśli: Górny, Majchrzycki, Seweryniak i Arski. Z okazji meczu doszło do poważnego zatargu organizacyjnego ośnośnych związków państwowych.

Odysseja Petkiewicza kończy się. Zwycięzył znów na 3 km. w 8 min 50 sek. i czeka na ostatnie dwa występy w dn. 2 i 8 b. m. Finał wycieczki zaciemnia się, gdyż nagle opuścił Petkiewicza jego opiekun z ramienia Związku. Czyżby Petkiewicz stał się nową ofiarą magnetycznej siły dolara?

W walkach pretendentów do opróżnionego po Tunney'u tronu bokserkiego zapadło rozstrzygnięcie półfinałowe. Doskonały Scharkey pokonał pewnie Phil Scotta, kwalifikując się do finałowego spotkania ze Schmellingiem.

Cieszące się niesłabnącem powodzeniem gry sportowe — ostatniej (2/III) niedzieli zapisały w całym kraju do 60 spotkań, co dobitnie świadczy o ich szerokim rozwoju. Zanotować należy zwycięstwo Warszawy nad Poznaniem 58:28 i Polonji (W-wa) nad „Czarną 13” (Poznań) 42:27.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

IDEA

Dwoma zasadniczymi prawami natury są: byt i celowość. Byt, objawiający się w ruchu, celowość — w naturalnej użyteczności, mają, w odniesieniu do człowieka, szlachetniejsze przystosowanie, jako postęp i idea przewodnia. Prawo postępu jest powszechnie uznane i trzeba szukać ludzi wyjątkowo zacofanych, którzybymy zaprzeczali. I idea ma swoje zastosowanie, ale, w przeważnej części, w formie surogatywnej, t. zn. ogranicza się do użyteczności. Jak to należy rozumieć? Otóż człowiek, jako stworzenie, ma swój cel, swoją użyteczność. Ale człowiek jest nie tylko stworzeniem, jest on sam duchem twórczym, a tylko, wskutek swej materialnej powłoki, doznaje więzów, ze strony materji. Jeśli zatem staramy się wyłącznie o użyteczność naszego życia, zaprzeczamy istnieniu w nas twórczej iskry Ducha. Użytecznym, czyli służącym do pewnego celu może być okręt, dom, młot, klucz i t. p., a niezliczone przedmioty martwe, albo żywe, jak krowa, muł i in., a nieposiadające ducha twórczego, który jest wyłączną i jedyną cechą natury człowieka. Człowiek, jako duch twórczy musi posiadać ideę — „cel wyższy”. Dowodzi tego t. zw. psychologja tłumy, objawiająca się w tem, że ludzie nieposiadający idei własnej, a ulegając niejako instynktownemu pociągowi ku niej, kierują się ideą jakiejś wybitnej jednostki.

Człowiek zatem ideę mieć musi! Ona jest miarą jego człowieczeństwa! Zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że im człowiek jest większym panem swych atrybutów ziemskich, zwanych zmysłami, tem idea jego jest bardziej zbliżona do idei człowieczeństwa. Idea człowieczeństwa jest bowiem jedna, a geniusz ludzki może się tylko do niej zbliżać lub oddalać. Im bliższą zaś będzie nasza idea tamtej, tem będziemy, niejako, wyżejprocentowymi ludźmi. Jeżeli nie posiadamy idei własnej to i prawo postępu jest u nas bierne, ponieważ z postępu tego wyłącznie korzystamy, a w niczem nie przyczyniamy się do niego. Idea tem jeszcze różni się od naturalnego celu, że ów jest, że tak określimy, wyrazem statystyki twórczej, ona zaś — dynamiki. T. zn., że idea rodzi postępek, a cel jest tylko jego znamię. Bez idei postępek ginie.

Ten przeto człowiek żyje z prawem natury zgodnie (rozumie się, że z prawem natury człowieka, jak koń żyje zgodnie z prawem natury ssaka, a nie gada lub rośliny), który ma Ideę, matkę Postępu, za kierowniczkę życia. W idei człowieczeństwa tkwi wprawdzie i cel związany ze stroną materialną człowieka, ale kierowanie się wyłącznie nim, nie jest „życiem według praw natury”, jak się to mówi, ale właśnie objawem anormalnym. Kto ma ideę, ten tylko może się zwać „władcą stworzenia”, bo inaczej jest jego niewolnikiem. Chodzi więc o to, ażeby każdy człowiek miał, poza swym „celem doczesnym” jakąś „ideę wyższą”, wyrażającą u niego ideę człowieczeństwa, by drugi Krasiński mógł zawołać: „To wolności wstał już człowiek”, jak pierwszy wołał, że „to wolności wstało zwierzę”. Wybitne jednostki niech nie działają na psychologję tłumów, ale na psychologję indywidualną. Szukajmy Idei! Bez niej zjeżdżamy do rzędu bezdusznych, bezmyślnych stworzeń. Zrozummy ideę człowieka! Inaczej nie będziemy ludźmi.

B. Korpowski

KRZYK WŚRÓD BURZY

Na morzu była burza.

W strasliwej orgji piorunów i wichru, dysząc ciężko, podobny do oracza, wyrującego skiby powoli, a wytrwale posuwał się okręt. Na pokładzie kilkudziesięciu, upadających z wysiłku ludzi, pokrwawionymi rękami pracowało zgodnie. A w czarnych czeluściach okrętu dygotało coś i dyszało ciężko. To wierne, niezmordowane maszyny pomagały ludziom.

Zawył ocean nad swą beznadziejnością i ruszył do walki. Zakotłowało się na chwilę wszystko. Zdawałoby się mogło, że ocean zwyciężył. Lecz nie!

Z ogólnego zamętu wynurzyła się dysząca łupinka i przebojem, bo-rykając się ciężko szła ciągle naprzód.

Złakł się ocean niezwycięzonego okrętu i umilkł, dziwując się srodze.

W budce, stary, ponury sternik otarł spocone, nabrzmiałe żyłami czoło.

Cisza nie trwała długo.

Zdała szedł głuchy łoskot potężniejący ciągle. Była to zapowiedź walki, walki bezwzględnej, a morderczej, w której zwycięży silniejszy. I rozszała się istne piekło koło biednego okrętu. Czarne zwały chmur połączyły się z żywiołem i rozpoczęły taniec opętańczy, taniec zwycięstwa. Wtórował wicher raz jęczący ponuro, a cicho, to znów wybuchający hukiem miliona gromów. Oslepiające białością zygarki piorunów harcowały po zamęcie chmur. Ludzie na pokładach nie ustawiali w pracy.

Okręt charcząc i stukając maszynami walczył. W parnej, naelektryzowanej atmosferze wisiała groza.

Wtem straszny krzyk targnął powietrzem i zapanował na chwilę nad burzą. To jednego z ludzi zmyła fala z pokładu.

Nastąpiła cisza, straszna w swej wielkości. Ocean uszanował śmierć człowieka.

Deszcz tylko strumieniami lał i szmerał po dachu budki sterniczej. Daleko, daleko powtórzył się żaloszny krzyk, walczącego ze śmiercią człowieka i umilkł.

Stary, ponury sternik szeptał modlitwę za konających.

Roland Kiewlicz

Pisma nadesłane

ŚWIT. Pismo młodzieży szkolnej. Kalisz (Nr. 3, 4, 5, Rok VI).

Bardzo miło jest chwalić, a zwłaszcza, gdy się ma za co. Otóż takim właśnie miłym obowiązkiem jest omówienie trzech kolejnych numerów „Świtu”. Im szersze horyzonty ogarnąć potrafi pismo, tem większą posiada wartość. Najlepszym przykładem tego jest omawiane tu obecnie pismo, które mimo, iż jest przeznaczone dla młodzieży szkolnej, nie ogranicza się do tematów i zdarzeń zwykle dość monotonnego życia gimnazjalnego, lecz czerpie umiejętnie z różnych dziedzin życia.

W ładnej szacie zewnętrznej rozumna i ciekawa treść — oto zasadnicze wartości „Świtu”. Jedno tylko małe zastrzeżenie dla czego podpisy mieszczą się to na początku, to znów na końcu utworów? Robi to dziwne wrażenie, jakby podwójnych podpisów przy jednych, a braku tychże przy innych artykułach, lub wierszach. A te wiersze, to także słaba strona pisma, sama Redakcja powiada: „Rymy to jeszcze nie poezja” (Nr. 5 str. 13 wiersz 8 od dołu), a drukuje właśnie „rymy”. Zato doskonałe są feljetony p. Z. Sznajdera, choć może trochę zabardzo „makuszyńskie”.

NASZ WIDNOKRĄG. Miesięcznik młodzieży Liceum Krzemienieckiego (Nr. 1 — 2, 3 — 4. Rok V).

Bardzo dodatnie wrażenie robi to kresowe piśmko nawiązujące ustawicznie do pięknych tradycji Liceum Krzemienieckiego.

Niestety jakoś słabiej i tu z poezją, a przecież tradycja! Ale jak widać sama tradycja, to jeszcze nie wszystko, zwłaszcza, gdy się kto na nowatorstwo puszcza. Bo czy na przykład nie razi taki rym: „jak wy”, „sakwy” — zwłaszcza w Krzemieńcu — zawsze tu przecież mieć musimy w pamięci Słowackiego. A jeszcze kiedy weźmiemy pod uwagę taki miły i wartościowy wiersz, jak: „Pamięci dawnych profesorów licealnych” — to doprawdy dochodzimy do wniosku, że może i w poezji lepiej zachować dawne tradycje Krzemieńca.

No, ale ktoś być może bez wad, to rzecz ludzka. Należy więc czempredziej zaznaczyć, że całość naprawdę bardzo miła i ciekawa. Doskonały p. Zenti.

DZWON. Pismo uczennic Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego Żeńskiego. Lwów. (Nr. 1, 2. Rok I).

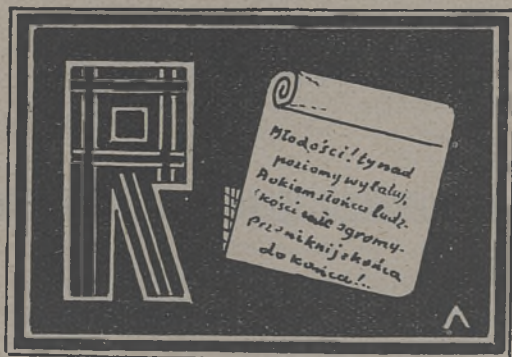
Początkujące to piśmko robi nader miłe wrażenie, jeden tylko kłopot, ani rusz zorientować się nie można dla jakiego wieku czytelników jest ono przeznaczone. Chyba jak powiedział jeden z humorystów dla dzieci od lat sześciu do sześćdziesięciu. Miejsmy jednak nadzieję, że już w następnych numerach redakcja znajdzie właściwą drogą i wtedy będzie to naprawdę wartościowe pismo, co już zapowiadają niektóre bardzo miłe utwory, choćby takie, jak „Pamiętasz”, „Gromicznia” i inne.

Dział rozrywek umysłowych



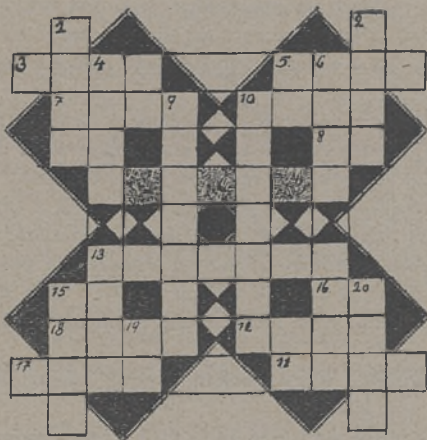
REBUSIKI LITEROWE

(podał Wacław Śledziński)



KRZYŻÓWKA

(podał Antoni Dziadek)



Znaczenie wyrazów

Poziome: 3. gra konna, 5. zwoływanie, 7. wcześniej, 8. przyimek, 10. godzin czego (wspak), 11. kurek, 12. zaprawa wapienna (wspak), 13. znane góry, 16. rzeka w Rosji (wspak), 17. zbiornik wody stojącej, 18. czasownik.

Pionowe: 1. przystań, 2. ptak morski, 4 pani (po angielsku), 5. miara powierzchni, 6. osoba płci żeńskiej, 9. odtworzyć, 10. zakład dla

obróbki drzewa, 13. natarcie (wspak), 15. środek lokomocji, 19. zaimek, 2-ga osoba l. mn. (wspak), 20. członek rodziny (zdrobniale).

UKŁADANKI SZARADOWE

(podał Antoni Dziadek)

1. Spółgłoska + przystań + samogłoska + zgromadzenie polityczne?
2. Spółgłoska + produkt asfaltu lub ropy + teatr X muzy bez ostatniej litery (wspak)?
3. Spółgłoska + nieszczęście + okres czasu?

BILETY WIZYTOWE

(podał F. F.)

Z podanych nazwisk określić zawód.

R. d'E n b a z

B. P. R a d o s k i

I. A. T a r n a r z y k

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 1 kwietnia. Na kopercie obok adresu dopisywać należy „Rozrywki umysłowe”.

Na nagrodę za rozwiązanie powyższych zadań przeznacza Redakcja „Korsarza” Conrada Korzeniowskiego. Nagroda będzie rozlosowana między nadsyłających odpowiedzi.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU 3.

ZADANIE KONIKOWE

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę; trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę”.

BILETY WIZYTOWE

1. Henryk Sienkiewicz.
2. Pomsta Jontkowa.

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów; poziome: 1. kiesa, 2. różga, 5 watra, 6. zło, 7. pan (wspak), 8. kanon (wspak), 10. denar, 11. ukrop, 12. lampa (wspak), 13. chrom;

pionowe: 1. karawana, 3. amazonkom, 4. spadu, 5. wodospadu, 6. Polikarpa (wspak).

H U M O R

— Co to znaczy? Wczoraj był pan siwy, a dziś ma pan znów ciemne włosy.

— A, bo widzi pan, spotkało mnie kiedyś wielkie zmartwienie i osiwiłem w ciągu 24 godzin, a dziś właśnie dowiedziałem się bardzo pomyślną nowiny i w ciągu jednej nocy włosy mi zpowrotem pociemniały.

* * *

— Jak myślisz, czy zostać malarzem, czy poetą?

— Malarzem.

— Malarzem powiadasz, a czy widziałeś moje obrazy.

— Nie, czytałem twoje wiersze.

* * *

„STERNIK“ WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK”, Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.